



NR 2 (4) / 2001

Łgż. archiwalny

# Kurier Literacki



Świetosława  
Trzepizur

#### Na okładce:

**Świętosława Trzepizur** (ur. 1983) jest uczennicą trzeciej klasy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Pankiewicza w Katowicach. Malarstwa i rysunku uczy się w klasie Andrzeja Makowskiego, rzeźby pod kierunkiem Remigiusza Dulko, ponadto jubilerstwa w klasie Joanny Barnaś-Wójcik i Beaty Hanslik-Janiszewskiej. Uczestniczyła w wielu konkursach plastycznych, m.in. w Konkursie im. Pawła Wróbla. Wystawiała swoje prace w Bibliotece Śląskiej w Katowicach oraz w licealnej galerii. **W roku szkolnym 2000/2001 została wyróżniona stypendium artystycznym Rady Miejskiej w Sosnowcu.**

Za duchowych mistrzów uważa Salvadora Dali, Albrechta Dürera, Jacka Malczewskiego, Franciszka Starowiejskiego, Zdzisława Beksińskiego i Wojciecha Siudmaka. Po skończeniu liceum plastycznego zamierza studiować malarstwo.

Nie tytułuje swoich prac, przeto jedynie na użytek numeru Chrystusowi na okładce dodajemy tytuł: „*Wg. Malczewskiego*”. Prace na okładce to pastele. Rysunki wewnątrz numeru - piórko.

#### POZA TYM W NUMERZE:

- Wiersze Ewy Filipczuk, Małgorzaty Matery i Jerzego L. Woźniaka.
- Opowiadanie Leona Brofelta.
- Esej Sławomira Matusza.
- Z dziejów teatru w Sosnowcu.
- Kolejny odcinek „Drogi do ojczyzny”.
- Absurdałki.
- Recenzje, kronika.

## Małgorzata Matera



*Jest Zagłębianką, studentką WSP w Częstochowie. Jej debiutancki tomik recenzujemy w tym numerze. Sama też ocenia innych.*

### Teogonia

może z braku czasu  
a może z samotności

może z miłosnej pieśni Dawida  
lub kropel na piersi Betsabee  
i siły Goliata

spod stóp Salome i śliny Heroda  
(praźródło wszechrzeczy i oczekiwany koniec)

z Sodomy Gomory

Arkadii

Przedmieścia...

może ze słów oszukanego poety  
wyszeptanych nad ranem na papier  
a może z echa pustych galerii  
i śmiechu pięknej aktorki

może pod wieczór  
gdzie miasto umyka ostatnim tramwajem  
resztką sił bo przygniatane półcieniem  
i pali z rozpaczy oddechy szarówki  
może z dymu - rodzi się...  
wieczne A n d r o g y n e

## Wiersz poświęcony poezji współczesnej Koniecznie prowokacyjnej

... Kochany kochany kochany  
nie dla nas z nieba kasztany...

Kochany!  
Nasza guzowatość  
przerazi nawet psa andaluzyjskiego  
i zamrozi krew w żyłach płonącej żyrafy!

Nasza guzowatość  
zaszczyci niejednego oprycha  
swoją subtelną parszywą ignorancją

Kochany!  
Nasza guzowatość  
przyprawi o dreszcze  
niejedną madonnę  
niejedną madonnę o zgrozo  
połechta po białym dekoltie  
bo pachnie ektohormonem

Nasza guzowatość Kochany  
obali wyspy szczęśliwe  
rozgrzybie płciowość kolejnej Ewy  
oszczepi lichym uśmiechem każdego Adama  
Nasza guzowatość  
na co dzień z uporem maniaka  
popycha kamień demagogii

### Drwal

*Drwalowi z Annolesia*

anonimowy jestem  
pośród zbląkanym dźwięków  
szepc zaspanych wilgocią P a p r o c i  
pozwala mi wsłuchać się w siebie  
choć

z dala pomruk bogobojnego D ę b u  
naucza cudzych historii

B r z o z y panienki szemrają wdychając  
kokietki...

jeszcze

pijana rosą S o s n a  
wierzchołkiem zatacza się bełkocze

i nie przeszkadza jęk wiatru  
rozdartego między igiełkami  
skwoty i zawodzenie przecucie egzekucji

bo słowa  
wyrastają jak liście  
na których zapisuje  
wyroki dla L a s u

### Piotrowi Mamcarzowi

Ja  
Pamela Anderson  
oświadczam  
że  
między moimi udami  
nie ma soczystych płatów mięsa  
zdarza się  
że  
pomiędzy moimi udami  
znaleźć można  
świeże berło  
czasem złote runo  
bo ja - dzisiaj Beatrycze  
prowadzę tylko do Raju  
(spotkać mnie można  
pod jaworem)

## NAPISALI ● POWIEDZIELI ● NAPISALI ● POWIEDZIELI

PROF. DR HAB.

**WŁODZIMIERZ WÓJCİK**

Bardzo potrzebne pismo literackie.

Ostatnie wkładki, będące dodatkiem do sosnowieckiego „*Kuriera Miejskiego*”, uświadamiają nam, że w regionie istnieją ludzie pióra, którzy są zainteresowani podejmowaniem problematyki zagłębiowskiej w narracjach literackich. Kiedy oddamy się lekturze książki Jana Pierzchały pod znamennym tytułem „*Legenda Zagłębia*”, przekonamy się, że życie literackie w naszym regionie było bardzo wyraźne na przełomie XIX i XX wieku. Krajobrazy tej ziemi i dylematy ludzi żyjących na niej opisywali ludzie pióra tej miary, co Artur Gruszecki, Gabriela Zapolska, Andrzej Niemojewski, Stefan Żeromski, czy Juliusz Kaden-Bandrowski. W międzywojniu problematykę zagłębiowską poruszał Leon Kruczkowski, czy Władysław Broniewski i wielu innych.

Po drugiej wojnie światowej ożywiało się życie literackie w Zagłębiu, szczególnie zaś w Sosnowcu. Z początkiem lat siedemdziesiątych zaczęło formować się środowisko inteligencji humanistycznej skupionej w nowopowstałym w 1973 roku Wydziale Filo-

logicznym Uniwersytetu Śląskiego. Nauczyciele akademicy wsparli swoimi publikacjami i wypowiedziami okolicznościowymi miejscową prasę. Sam przez kilka lat na łamach „*Wiadomości Zagłębia*” występowałem z cyklami felietonów „*Zagłębiowskie impresje*” oraz - później „*W pejzażu najbliższej ojczyzny*”. Poloniści nasi występowali także z licznymi odczytami na temat literatury. Skutkiem spotkań kadry akademickiej z uczniami było zwiększenie się liczby młodzieży piszącej oraz kandydatów na studia polonistyczne. W naszym środowisku działa od kilkunastu lat Klub Pisarzy Zagłębiowskich, skupiający twórców urodzonych w regionie lub z tym regionem na różne sposoby związanych; działają młodzieżowe grupy literackie, manifestujące swoje istnienie różnymi publikacjami. Czas, aby ci ludzie mogli systematycznie ogłaszać swoje teksty dotyczące ich „najbliższej ojczyzny”. Wypowiadam się zatem za stworzeniem stałego literackiego periodyku zagłębiowskiego. Ziemia ta i ludzie tej ziemi zasługują na utrwalenie w słowie pisanym, słowie trwałszym niż granit.

*Włodzimierz Wójcik*  
Literacki

Ewa Filipczuk

## NOWE WIERSZE



*Autorka sześciu tomików  
poetyckich.  
Absolwentka polonistyki  
UŚ, niegdyś mieszkanka  
Sosnowca, obecnie Łodzi.*



### BĘDZIEMY

napiszemy jeszcze jeden jeden wiersz  
i będziemy udawali wielką czystość  
i dziewictwo i niewinność jeszcze raz

nasze czarne czarne karty będą białe  
nasze sińce pod oczami nasza krew  
nasze dzieci to ufności będzie znak

mętna woda mętna woda nie popłynie  
w naszej rzece będą płynąć słodkie łyż  
i za grzechy wypijemy je do dna

i nikt z okna nie wyskoczy nikt nie zginie  
żaden odjazd żaden pociąg żadna mgła  
przeżyjemy jeszcze jedną jedną chwilę

i będziemy brudne ręce długo myli  
i będziemy czuwać nocą  
żeby z oczu zniknął strach

\* \* \*

Chciałbym żebyś chciała  
Piszę A kiedy szukam słów  
on staje się powietrzem  
które mnie otacza

Pyta czy chcesz  
Żadna odpowiedź  
nie jest oczywista  
po długiej drodze  
zanim ją wypowiem

Tak i Nie i Być może  
rozproszone niespójne  
zataczają kręgi nade mną

Coraz bardziej się waham  
Coraz bardziej nie wiem

### CZERWONE GNIAZDO

gubię pióra pod oknem  
czerwonym mojego domu  
i idę coraz wolniej  
w stronę twardych drzwi

chciałabym odejść zniknąć  
mieszkać w pustym gnieździe  
liczyć czerwone nitki  
niemej ptasiej krwi

### CZARNA SKRZYŃKA

Dziecko powinno rodzić się  
z czarną skrzynką zamiast serca  
Nie zanadto kochać  
Nie za bardzo cierpieć

Dziecko powinno być samotne  
bo wszelkie odejścia zostawiają blizny  
A każde nadejście  
daje próżną nadzieję

I każde istnienie  
to spadające skrzydło samolotu  
z którego bardzo wolno  
wyfruwa czarna skrzynka

### NADWRAŻLIWOŚĆ

Kiedy dochodzi do zjawiska  
nieprzebaczonej krzywdy  
nadciera nadwrażliwość  
Strzeż się jej uśmiechu  
skóry jak pergamin  
nagich rąk

Dążysz do mocy  
a ona ma na imię  
bezsilność

Porządek świata rozpada się  
na tysiące ostrych słów  
które ranią

W chaosie  
nie można się scalić  
ani poczuć bezpiecznie

Nieprzebaczone są krzywdy  
siwych chłopców  
pomarszczonych dziewczynek

W nieufnym pokoju dzieciennym  
dzieje się  
śmiertelne życie

## Z powodu kardynała



To nie jest karykatura autora. Nie zgodził się na fotografię twierdząc, że wygląda gorzej.

Red.

Obudził mnie łomot do drzwi. Zwlókłem się z wyra.

- Co jest? Chwila. Pali się, czy co?  
- Szybciej otwieraj! Musimy jechać.  
Był to Lucek. Otworzyłem.

- Czemu mam zawdzięczać zaszczyt obudzenia mnie o tak idiotycznej porze?

- To z powodu kardynała w dupę kopanego. Przyjeżdża dzisiaj!

- Do mnie???

- Głupiś. Do miasta przyjeżdża.

- No to co?

Wepchnął się do mieszkania. Do południa brakowało trzech godzin. Próbowaliśmy dotrzeć z powrotem do łóżka. Zastąpił mi drogę.

- Wskakuj w portki. Nie mamy czasu!

- Ocipiałeś?

- Nie ja. Władzy odbiło. Musimy to załatwić. Ubieraj się. Wołga czeka pod domem.

- Mam piwo. Może się napijesz?

To się nazywa mieszane uczucia. Pół godziny w łóżku za cenę dwu flask.

- Nie - warknął.

Otrzeźwiałem. Musiało stać się coś poważnego skoro nawet piwa nie chce.

Mamrotał pod nosem. Usłyszałem, że plugawym językiem wyrażał się nie stosownie o mamuśkach różnych osób, w tym kardynała, niestety. Sięgnąłem po portki. Uspokoił się, przysiadł, nawet zapalił.

- Świry w Komitecie oszalały. Całkiem im odbiło. Mamy dziś wystąpić, ludzi musimy pościagać, gramy o szóstej!

Jesienią zmontowaliśmy, to znaczy, Lucek zmontował, całkiem fajny teatrzyk. On był szefem i głównym reżyserem. Poza tym dużo koleżanek, a mnie w roli gwiazdorka obsadził. Ubaw po pachy! Nawet ludzie chcieli nas oglądać! Czasami.

Z braku innych pomysłów pozwoliliśmy aby organizacyjny parasol nad zespołem rozpostarł zetemes.

- Za chińskiego boga to się nie da zrobić!

- Wiem - zrezygnowany machnął ręką. - Ale te głuptaki nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Uparli się, palanty! Musimy coś wymyślić, jasna cholera! Mają mnie jak na widelcu.

Lucek, jak zawsze, panikował. Bardzo chciał zrobić karierę. Ciągłe myślał, że ktoś w Komitecie czyha na każdą jego wpadkę. Ręce mu drżały. Nie wiem, z nerwów, czy z nadużycia? Ostatnio mieliśmy trudne tygodnie.

Zabrałem się za sianie łóżka.

- Leon, kurwa, pospiesz się! Wyrko tu nikomu nie przeszkadza, a tam rektor na nas czeka! Rozumiesz człowieku? NA NAS CZEKA REKTOR!

Poszedłem do łazienki. Człapał za mną i poganiał. Fakt, ruszałem się wolno.

- Będzie szybciej, jak spokojnie siędziesz na dupie i grzecznie zaczekasz. Muszę się odlać, a jak się denerwuję, zaworki mi się blokują i wszystko trwa trzy razy dłużej.

Nie ustąpił. Stał w przedpokoju i mrucał wściekły. Odcedziłem kartofelki, wyczyściłem zęby, podrapałem pysk wynalazkiem, który dał mi jeden czarny z „wieży Babel”. Rzekomo na jeden raz, a goliłem się tym już miesiąc.

- W porządku. Możemy iść. Nie wiem tylko po jaką ciężką cholere? To bez sensu!

Przed bramą rzeczywiście stała komitetowa, czarna gabłota z kierowcą w środku. Lucek otworzył drzwi i wsiadł. Zwalilem się na tylną kanapę.

- Jedziemy, panie Marianku - powiedział.

Jako figura w zetemesie znał się z niektórymi kierowcami.

W gabinecie, prócz rektora, zastaliśmy wujowego przydupasa, towarzysza Rysia, rudego polamańca, którego nie lubiłem, ale którego wszyscy się bali. Miał rzadkie, ryżawe włoski z łupieżem, wiecznie wilgotne ręce i minę radzieckiego marszałka srającego w poligonowej latrynie. Figura mało pociągająca.

- No, są nareszcie młodzi towarzysze! - ucieszył się na nasz widok.

- My się znamy, prawda?

Burknąłem, że owszem.

Rektor, nobliwy profesor w emerytalnym już wieku, minę miał nieprzeniknioną, jak pokerzysta z amerykańskiego filmu. Zafundował nam piątkę, więc uścisnęliśmy ją z szacunkiem.

- Jest towarzysz taka dyrektywa: wasza grupa ma dziś występ w osiedlu akademickim. My dopilnujemy frekwencji a wy, towarzysze, zabezpieczacie przedstawienie! Jasne?

- Wcale nie jasne! - odszczeknąłem bezczelnie. - Ludzie się rozjechali. Koniec semestru, sesja egzaminacyjna, jak ich znajdziemy?

Zrobił minę, jakby mu gołab na te rude kudełki nasrał.

- To wasze zmartwienie. Macie do dyspozycji mój wóz i wóz towarzysza rektora. Nie po to was zawezwaliśmy, żebyście wyszukiwali trudności. Dotąd macie szukać, aż wszystkich znajdziecie. Występ ma się odbyć!

- Tak jest, tak jest! - odezwał się Lucek. - To da się zrobić!

Ślepia mu nagle błysnęły jak pijackowi do pełnego kielonka.

- Przy takich środkach damy sobie radę, prawda Leon? Jest tylko jeden jeszcze kłopot, towarzyszu naczelniku, magnetofon mamy zepsuty. Stary już, sypie się.

- To kupcie nowy! Ileż to roboty?

- Jeżeli można prosić...

Towarzysz Rysio spojrzął na rektora, rektor na towarzysza Rysia. Zgodnie kiwnęli głowami.

- Wy pojedziecie ze mną - rudy zwrócił się do Lucka - załatwimy sprzęt. Kolega, towarzysz Leon niech czasu nie traci i zbiera ludzi. Macie tu listę z adresami. No, powodzenia!

Wetknął mi kartkę i wysłał do boju.

- O której muszę zwolnić samochód? - spytałem profesora.

- Korzystajcie do skutku. Pamiętajcie towarzyszu, występ o szóstej! - odpowiedział naczelnik Rysio, chociaż nie jego pytałem. Miał taki wkurwiający zwyczaj grożenia palcem.

Wychodząc z gabinetu obejrzałem się. Lucek siedział swobodny, odprężony, niemal radosny. Mrugnął do

mnie. Jasne! W razie czego, ON był kryty!

W sekretariacie czekał na mnie starszy gość, kierowca rektora. Zeszliśmy na dół.

- Trza będzie zatankować - powiedział wsiadając do auta.

- Pewnie. Dużo jeżdżenia przed nami.

Z fasonem zajechał na stację paliw. W czasie kiedy dochodził się z pompierzem, przestudiowałem listę układając w głowie najważniejszą marszrutę.

- Tera dokąd?

- Śniadanie pan jadł?

- Pierwsze.

- No to czas na drugie. Do „Beniaminka”.

Nic nie powiedział. Ruszył ostro.

Wbiliśmy w kieszki po kilka kanapek z wędliną i serem, przepiliśmy piwe-



kiem. Pan kierowca nie krępował się wcale. Od razu świat poweselał.

- A tera gdzie?

- Do mnie. Muszę się przebrać.

Podaliśmy adres.

Zmieniłem ciuchy, zapowiadało się słonecznie. Wzięliśmy też torbę na zakupy, taką dużą, podróżną.

Potem pojechaliśmy do Marka, naszego specja od sprzętu. Fizykę studiował. Bardzo się ucieszył z wiadomości, że dostanie do dyspozycji nowy magnetofon.

- Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem. Potrzebne jeszcze kable, statyw i fura innych duperek. Wiesz co? Jadę z tobą! Może znajdziemy gdzieś

Lucka?

Wróciliśmy do centrum. Rzeczywiście, czarna wołga stała przed największym w mieście sklepem ze sprzętem elektronicznym. Marek wyskoczył, a ja kazałem zawrócić na osiedle akademickie.

Trzem dziewczynom, które tam mieszkały, a których, oczywiście, nie zastałem, zostawiłem liściki. Będą - to dobrze, nie będą - świat się nie zawali. Grożącym palcem towarzysza Rysia dziwnie mało się przejmowałem. Przy kolejnych trzech nazwiskach wpisałem uwagi, że osoby te są zupełnie nieuchwytnie, że powyjeżdżały w niewiadomym kierunku i różne takie. Okazało się, że w dwu przypadkach to była szczerza prawda, rzeczywiście te koleżanki wyjechały. Mniejsza z tym. I tak żaden występ się nie odbędzie, co do tego nie miałem wątpliwości.

Potem pojechaliśmy do Ewy. Znów na odległe peryferie, tyle że po przeciwnej stronie miasta. Ewy, z racji figury i usposobienia, pominąć absolutnie nie mogłem. Opalała się w ogrodzie. Podeszła do furki nie dbale owinięta pledem. Panu Józefowi, kierowcy, mało gały nie wypadły z oczodołów i nie rozbiły szyb w aucie.

- Przywożę ci, Ewuniu, zaproszenie na wieczór. Dziś o szóstej w czwartym akademiku.

- A z jakiej to okazji?

- Z powodu kardynała. Rozumiesz?

Nie rozumiała, więc jej wytłumaczyłem co i jak. Zaciągnęła mnie w swoje krzaki. Leżały tam trzy otwarte podręczniki.

- Miło, że wpadłeś.

Chętnie oderwę się od tego kucia. Trafisz sam z powrotem? Nie chce mi się znów wstawać.

Zanim odszedłem wymotała się z pledu i le-

gła na nim. Miała na sobie okulary przeciwsłoneczne. Uznałem, że nie jesteśmy ze sobą aż tak spoufalemi, żeby wizyty przedłużać. Może, cholera, to było nieładnie z mojej strony? Bo ja wiem? W każdym razie od tego dnia dzielił nas niemły dystans. Potem straciliśmy się z oczu.

O trzeciej po południu przy wszystkich nazwiskach miałem już powpiswane stosowne uwagi.

- Panie Józefie, co by pan powiedział na małą przekąskę? Na przykład goloneczka z chrzanem i groszkiem, co? Stawiam.

Zgodził się skwapliwie. Po tylu godzinach byliśmy już ze sobą za pan brat.

Po drodze wpadłem do zaprzyżnionych delikatesów, od razu na zaplecze. Pani kierowniczka, nieprzypadkowo żona naszego oficera z SW, zapeliła torbę czym trzeba było i wystawiła dla zetemesu rachunek. Faszki tylko nie były na nim uwidocznione, a tak miło w torbie podzwaniały. Wepchnąłem bagaż do auta.

- Mamy jeszcze jakiś kurs? - spytał pan Józef zafrasowany, kiedyś się już rozsiedli przy stoliku.

- Tylko do akademika.

- Oj to dobrze. Możemy po maluchu pod tę świnkę strzelić! Więcej nie mogę z powodu kardynała.

- A to dlaczego?

- Dałaby mi stara jakbym nie poszedł! Już się bałem, że może nie zdążymy. Wariacki dzisiaj dzień.

- Wszystko z powodu kardynała, panie Józiu. Musieliśmy tyłu ludzi zawiadomić, aktorów, aktorki...

- Ta w kocu też u was aktorka?

- A jakże.

- Klasa dziewczucha! Muszę kiedyś się wybrać i popatrzeć.

Coś mi wpadło do głowy.

- Musi pan dziś wóz odstawić?

- Niekoniecznie, a bo co?

- Bo widzi pan, ona daleko mieszka. Jak tak się panu podoba, to wpadnij pan dziś wieczorem, dziewczyny pan pozna, podwozi, ją przede wszystkim, co?

Pastwił się w milczeniu nad resztką świąńskiego kolana. Rozwahał.

- Podpiszesz mi pan kartę. Na wszelki wypadek.

- Nie ma sprawy.

- To przyjadę. Wpierw porozwożę znajomków spod katedry.

- Nie ma pośpiechu. I tak przed północą nie skończymy.

- Tak długo gracie? Czemu tak?

- Z powodu kardynała.

- Nie rozumiem.

- Żaden wstyd. Tego nikt normalny pojąć nie może. Pański szef, choć profesor, też ni chu, chu...



## Jerzy Lucjan Woźniak



Sosnowiczanie, autor kilku tomików i wielu publikacji prasowych.

### powrót z wycieczki

Barbarze - żonie kiedyś  
za wspólność tatrzańską

siedzę na progu szałas -  
doliny się spotkały  
w ramiona sobie padły  
jak siostry - w dół poszły  
potok z gór wyniósł  
modlitwę  
kaleczoną o żebra brzegów  
słońce na turniach  
zapaliło spokój zachodu  
w sobie klęczę  
żegnam dzień nieboskrzydły  
nieдалeko kruk rozwiódł w echu  
skargę wieczoru  
1999

### erotyk przypadkowy

była odwrócona profilem  
- jakżeż tak można odchyłać wygo-  
loną pachę  
z dyskusji nad skryptami -  
siedziała z koleżanką -  
najczęściej dobiegało słowo dusza  
bluzka podświetlona  
z przeciwnej strony słońcem  
kazała się domyślać w światłocie-  
niach  
kształtnych piersi  
uda z rozciętej sukienki wyzwolone  
- gotowe do wystrzelenia pociski  
oszołomiła mnie  
jak do tłustej golonki podana  
zerwana przed chwilą z grządki  
ze srebrem rosy  
sałata  
2000

### cerata wciąż się sprawdza

w zamierającym ruchu ulicznym  
byli prawie niewidoczni  
szarzy z szarą torbą  
żwawi młodością  
kleili w najbardziej widocznych miej-  
scach  
kartki  
potwierdziły się moje domysły:  
„jesteśmy najlepsi i uczciwi  
nasza firma da ci szczęście i dochody  
zaczynamy rewolucjonizować świat”  
było mi ich żal  
może nie mieli za co żyć  
już niezadługo któregoś świtu  
objęci szczelnie ramionami  
z rozpaczą spostrzegą  
iż mają tylko siebie  
może to właśnie będzie  
dla nich ocaleniem  
2001

### Hermes z małym Dionizosem

(posąg)

Hermes ma utracone przedramię  
i z położenia ramienia  
można się domyślać że wskazuje  
nieistniejącą dłoń przestrzeń  
chmury ułożone jak stado  
pasących się baranków  
można to również zrozumieć  
jako wtajemniczenie Dionizosa  
w przyszłe życie poważne -  
Hermes przecież nie wiedział  
iż ten małeć będzie się upijał  
uczestniczył w bachanaliach  
uwodził kobiety - pławić się w rado-  
ści za wszelką cenę  
nie wiedział również  
że z człowieka ma prawo wysko-  
czyć  
cała namiętność aby czuł się wolny  
i może nią uderzyć  
w skostnienie form i treści  
licząc na zrozumienie  
trudno winić Hermesa -  
czuł się pedagogiem  
a o skomplikowaniu natury ludzkiej  
dziecku - nie wypadało jeszcze mó-  
wić  
2000

### przygoda z kotem

w samym śródmieściu wieczorem  
na bardzo ludnej ulicy  
czarno-biały kot  
podbiegł do mnie jak mój  
- zaczął się płątać u nóg  
zniżyłem się do parteru -  
futro zadbane błyszczące  
żwawy i zadowolony  
łasił się do rąk  
wyczułem elektryzujące drzenie  
jego ciała  
jak to u kotów bywa  
wywołane mručeniami  
- ktoś bardzo dbał o niego  
ostatnio bolała mnie samotność...  
postanowiłem go zabrać -  
chyba mnie zrozumiał  
czułem w dłoniach jego ciepło  
gładkość sierści  
po kilkuset metrach  
zaczął się wiercić i parskać  
postawiłem go na chodniku  
pobiegł za mną  
kilkadziesiąt metrów  
miauknął i znikł pod rzędem  
samochodów na parkingu  
siedziałem w ciszy przy kolacyjnym  
stole  
z jedną świecą pośrodku  
myśląc o kocie  
może chciał mnie ukarać  
bardzo często popełniałem ostatnio  
grzech pychy  
2000



## Dotyk liryki, spotkanie fizyki

dla Barnaby – Mojego Syna,  
któremu Księżyc nosił czekoladę

Jeżeli nie jesteśmy w stanie zrozumieć ogromu wszechświata, wielkiej ilości galaktyk i zachodzących w nich zjawisk, problemu nieskończoności, zakrzywienia przestrzeni i problemów z czasem, wielkiego wybuchu, czarnych dziur – gdzie ilość materii o objętości bombki choinkowej może być cięższa od całej Ziemi, wyobraźmy sobie, że nasza inteligencja powstała nie na suchej ziemi, a w wodzie i tam od początku żyjemy. Jesteśmy wysoko rozwiniętymi rybami, a jeszcze lepiej – przydennymi skorupiakami.

Opanowanie pływania, czy choćby tylko oderwanie się od podłoża, można porównać wtedy z naszym oderwaniem się od ziemi i lataniem w powietrzu; choć może pływanie jest łatwiejsze ze względu na mniejszą różnicę w gęstości naszego ciała i wody, ośrodka, w którym mamy się poruszać.

Wtedy wyjście z wody: człowieka-ryby, człowieka-kraba, skorupiaaka, da się tylko porównać z wyjściem obecnego człowieka w kosmos, którego istnienia wtedy nie potrafilibyśmy sobie nawet wyobrazić. Wznosząc się na 100, czy 1000 metrów, sądzilibyśmy jak starożytni, że słońce, księżyc i gwiazdy są zawieszony w powietrzu i pływają w nim razem z nami. Samego kosmosu – takim, jakim jest, jakim go znamy – nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić zupełnie – nawet biorąc pod uwagę skok cywilizacyjny, jakiego byśmy dokonali.

Jeśli więc chcemy pojąć kosmos – jego wielkość i niedosiężność, z odległościami, ilością galaktyk i wszechświatów, wyobraźmy sobie, że dopiero jesteśmy na etapie wydostawania się z wody i ledwie poznajemy nowe środowisko, dzięki technice jaką mamy przypominamy raczej ryby dwudyszne, zdolne raczej przebrnąć z kałuży do kałuży, w mokrym mule, niż normalnie się poruszać. Kosmos, ten prawdziwy, nigdy nie będzie dla nas dostępny; bo nie potrafimy opanować nawet środowiska, w którym żyjemy, powietrza.

We wszelkich projektach związanych z podbojem kosmosu, jesteśmy zachowawczy, bojaźliwi i konserwatywni – przez przywiązanie do otoczenia, jakie wydaje nam się potrzebne do życia: ziemskiej siły ciężenia, składu powietrza, wielkości promieniowania i ziemskich norm naszego zdrowia i wyglądu. Chodzi na przykład o to, że przy o połowę mniejszym ciężeniu nasze kości odwapniają się, mięśnie tracą siłę – tracąc to, co w warunkach podróży kosmicznej jest zupełnie nieprzydatne, a co może być, lub jest, początkiem i warunkiem ewolucji biologicznej, od której zależy powodzenie naszej ewentualnej misji. Astronauci zabierają ze sobą tony zupełnie niepotrzebne-

go w takiej podróży sprzętu do utrzymania kondycji, zajmując mnóstwo czasu i wysiłku.

Podobnie niedorzeczną wydaje się konwencja o ochronie przestrzeni kosmicznej – dbałość, by na bliskie ciała niebieskie, do których jesteśmy w stanie dotrzeć, nie przenieść żadnej formy ziemskiego życia – wirusów, czy bakterii oraz naiwne założenie, że człowiek jest w stanie sam, w sposób rozumny i zaplanowany przygotować takie obce ciało niebieskie do zamieszkania dla siebie. Przecież to właśnie te bakterie i wirusy, których niekontrolowanej ewolucji tak się boimy, przygotowały Ziemię zanim my się na niej pojawiliśmy. Kto wie, może nasz najbliższy kosmiczny sąsiad, o którym marzymy, powinien najpierw stać się takim biologicznym śmietnikiem-laboratorium, który da nam wodę, tlen, nad którym później zapanujemy i nauczymy się z niego korzystać. Niech to życie – szczeniaki gdzieś tam – ewoluuje samo z siebie, a my potem będziemy czynić je sobie poddane. Bez troski rozwijamy genetykę i chirurgię prenatalną – rzeczy niepojęte i często nie do zaakceptowania dla zwykłych ludzi – a boimy się zmian w naszym organizmie, jakie wymusza środowisko kosmosu.

Pewne problemy, przed którymi stajemy, dobrze ilustruje problem prędkości. Dla ryby, albo skorupiaaka, którymi dla potrzeb tych rozważań staliśmy się, prędkość ptaka w locie – np. języka mknącego z szybkością 180 km/h, jest prędkością zawrotną. Jest może granicą, jaką coś realnego dla niej – ryby – może osiągnąć; dla niej samej nieosiągalną. Prędkość samolotu naddźwiękowego, prędkości kosmiczne – z prędkością pędu Ziemi wokół Słońca i prędkością światła, są niewyobrażalne, nie do poznania i nawet nie do stwierdzenia. – Czy są prędkości większe od prędkości światła? – Popatrzmy raczej na bariery postawione naszemu poznaniu. Ciało ryby (którą jesteśmy!) rozpadłoby się w wodzie przy prędkości lotu ptaka, nie mówiąc o tym, że ryby głębiny giną natychmiast przy wyciągnięciu z wody. – Tak ginie dla nas materia w falach światła... – Są może prędkości większe od światła, ale my ich na pewno nie stwierdzimy.

Być może materia zdolna jest uciec na zawsze z miejsca, w którym świat został poczęty, miejsca „zero” – wielkiego wybuchu (big bang). Kiedyś mapa nieba liczyła około 100 obiektów. Dzisiaj używamy dla ich oznaczenia nie tylko cyfr, ale i wszystkich liter alfabetu – tyle ich zaobserwowano. Miliony galaktyk, nieokreślona liczba gwiazd uciekających od pewnego miejsca, które wszystkie określamy

mianem kosmosu. Mamy pojęcie jednego, stale rozszerzającego się kosmosu – zastanawiając się, kiedy on znacznie się kurczy. Liczymy w tym celu ilość materii i prawa ciężenia, jakim ona podlega.

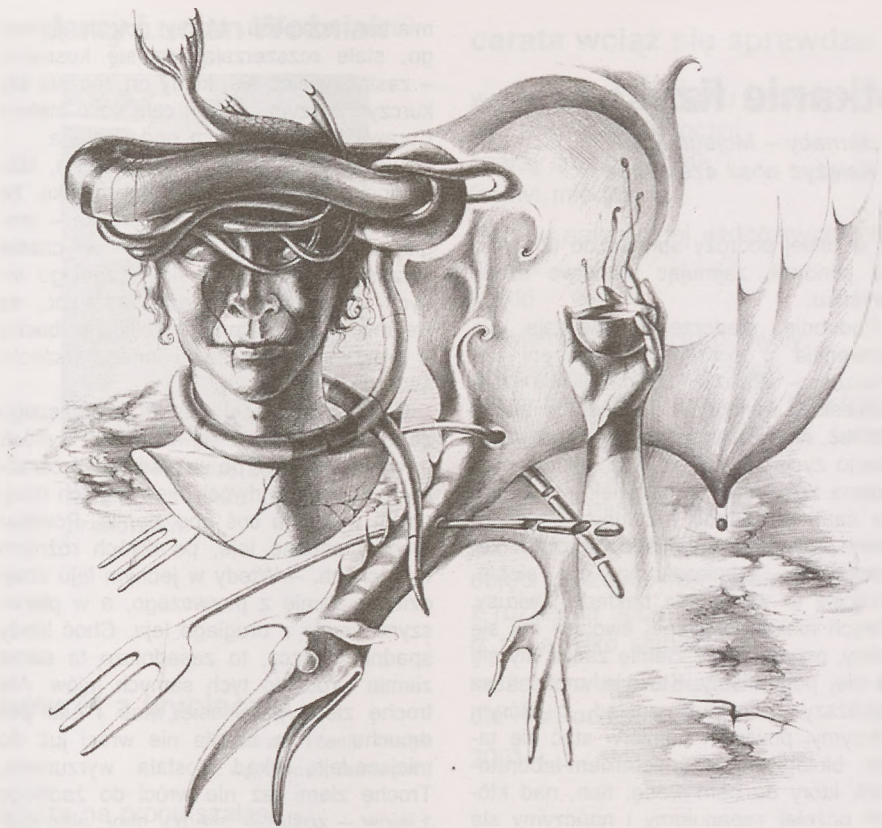
Tymczasem może istnieć materia, która pochodzi stąd, a odleci tak daleko, że nie zostanie wchłonięta do środka – magicznego miejsca „zero” – w czasie i przestrzeni. Znajdzie się w zasięgu innych sił ciężenia i będzie dryfować, aż weźmie udział w innym wielkim wybuchu – tworzeniu i niszczeniu innego wszechświata.

Część wracającej materii do naszego zera, może spóźnić się na „nasz” wybuch i minąć „zero” już po wszystkim. Wyobraźmy sobie, że w dwóch nieodległych miejscach wybuchu coś pod ziemią. Powstają dwa osobne leje, po dwóch różnych wybuchach. – Wtedy w jednym leju znajdziemy ziemię z pierwszego, a w pierwszym ziemię z drugiego leja. Choć kiedy spadnie deszcz, to zasadniczo ta sama ziemia wróci do tych samych lejów. Ale trochę ziemi przeniesie wiatr i siła poddmuchu – i ta ziemia nie wróci już do miejsca-leja, skąd została wyrzucona. Trochę ziemi też nie wróci do żadnego z lejów – zostanie między nimi, albo całkowicie na zewnątrz. Tak materia może uciekać z wszechświata, ku innym wszechświatom lub trwać w przestrzeni *niczyżej* – w kosmicznej miedzy, poza zasięgiem sił przyciągania ku niegdysiejszym centrom wybuchów. Albo może trwać w miejscach, gdzie siły te równoważą się. Przypominać to może stan kulki, która na wyniosłości ma wystarczające podparcie, by się nie przechylić i stoczyć w żadną stronę. Mogą tak trwać pojedyncze gwiazdy – aż do dopełnienia swojego żywota, całej galaktyki lub ich oderwane części – w miarę jak trwają i koncentracji wokół nich materii, stawać się ogniskami i miejscami tworzenia nowych, wielkich układów. Miedze, to przestrzenie, gdzie wszechświat może się *zalamywać* w najdalszych swoich granicach – których nie sięgają żadne teleskopy, za którymi zaczynają się inne wszechświaty.

Wybuchy, kosmiczne leje, czarne dziury, kłopoty z wyjściem poza własne środowisko, które nas osacza – jak z wyjściem ryby z wody lub z atmosfery jaką jest otaczające nas powietrze – poza granice przyciągania ziemskiego, w kosmiczną przestrzeń sił nieznanych, dają pojęcie o możliwej wielkości i wielości wszechświatów oraz o big-bangach, w których one co 10, czy 20 mld lat powstają i giną. Tym samym dają pojęcie o naszej możliwości-niemożliwości poznania tego.

Więcej pojęcia o niedosiężności (wszech) świata i pokory wobec niego mają od nas dorosłych dzieci. Kiedy mój pięcioletni Barnaba stacza przed zaśnięciem wojny żołnierzkami, na kółdrze w łóżku, czasem któryś z nich ginie mu w fałdach pościeli, poza zasięgiem rączek lub spadnie na podłogę. Nie wolno

ciąg dalszy na str. 8



mu już wstawać z łóżka i wtedy w dziecku rodzi się poczucie podobnej właśnie niedosiężności – zabawka przez jakiś czas ma swój żywot, o którym on nie ma pojęcia i godzi się z tym wraz ze zgaszeniem światła łatwiej niż my.

Język dzisiejszej fizyki: astrofizyki, fizyki teoretycznej i nuklearnej, zaczyna przypominać język Arystotelesa i fizyki jego czasów: ogień, ziemia, powietrze, woda; jakiś kurz kosmiczny... Fizyka w opisie rzeczywistości, którą bada, ucieka się do jej literackiego i symbolicznego, metafizycznego opisu: czarne dziury, naga osobliwość, kosmiczne włoski (Hawking), kwarki – zaczerpnięte z poematu Yoyce'a (Finngens Wake) na oznaczenie najmniejszych drobin znanych materii... Fizyka sama dla siebie staje się nagą osobliwością, którą by opisać, trzeba uciec się do języka poezji. Einstein sławnym równaniem  $E=mc^2$  kończy okres zastosowania matematyki w fizyce i opisie świata, a zaczyna wracać do literackiego opisu odkąd ukuł metaforę zakrzywienia przestrzeni. – To nie przestrzeń się zakrzywia, tylko promień światła w niej biegnący. Mimo że rozchodzące się promienie światła we wszystkich kierunkach światło było dla ludzkiej wyobraźni jedną z ości pojęcia przestrzeni, to po odkryciu załamania światła pojęcie w niczym się nie zmieniło – pozostało realne takim, jakim było od czasów starożytnych. Opisując nową przestrzeń, zakrzywioną, ciągle musimy odnosić się do idei Platona i euklidesowej geometrii. Podobnie z pojęciem czasu i jego kierunku. Względność czasu i przypuszczenie, że może on biec w odwrotnym kierunku, stworzenie pojęcia czasu *urojonego* (Hawking), jako bardziej rzeczywistego, zainspirowało odkrycia miejsca „zero” w historii

wszczęściwa – poza które w naszym poznaniu nie możemy się cofnąć i teorii powtórzenia wielkiego wybuchu – ze zwodniczą koncepcją, że wszystko zaczęło się od początku; i ponieważ prawa fizyki są niezmiennie, musi przebiegać tak samo. Ale właśnie te osobliwości w różnicach *starej* i *nowej* historii wszechświata oraz następstwo wielkich wybuchów wyznaczają oś i wektor czasu. Czas nie jest względny przez to, że równocześnie z nami – przy naszym stopniu rozwoju i inteligencji istnieją ryby pancerne, ryby dwudyszne, jeże i torbacze ukształtowane w odległych okresach historii Ziemi, podobnie jak nie jest względny przez to, że obok fal radiowych wysłanych przez Marconiego istnieje jeszcze promieniowanie tła – jako ślad wielkiego wybuchu. Współistnienie tych zjawisk nie dowodzi względności czasu, ani zmianie jego wektorów. Czas *urojony* i zakrzywiona przestrzeń są meta-fizyką współczesności – oznaczają zamknięcie się fizyki na poznanie. Fizyka klęka przed nieskończonością poddając się, jak wzdragała się przed przyjęciem modelu kopernikańskiego. Jest to czarna wersja historii fizyki...

Ku temu samemu zmierza matematyka, z jej wielkim odkryciem logiki rozmytej. Jest to oznaka humanizacji matematyki jako nauki – matematyczne uznanie ograniczeń percepcji ludzkiego umysłu i jego zdolności do liczenia i przewidywania następstw.

Przed fizyką i matematyką okres nowego średniowiecza lub baroku – z rozkwitem herezji i nowa epoka szarlatanów. Zresztą w laboratoriach tych ostatnich w XVII i XVIII wieku zrodziła się najpierw współczesna chemia, a z nią fizyka, a także psychoanaliza – o czym szeroko

pisał w swoich pracach Carl Gustaw Jung.

Nowe koncepcje czasu i przestrzeni mają większe znaczenie jako koncepcje psychoanalizy, niż poznawcze – fizyczne i matematyczne; oddają stan duchowości naszych czasów.

Rzeczywista nauka weszła w okres praktycznego zastosowania swoich osiągnięć – empirycznych i teoretycznych. Także ich weryfikacji. Może wynalezienie lasera odpowiada odkryciu zastosowań dla ognia przez człowieka pierwotnego, a odkrycie zakrzywienia przestrzeni (nazywa ta jest błędem logicznym) nie tylko pozwala wierzyć w wywoływanie duchów i wskrzeszanie zmarłych, ale zainspirowuje do odkrycia jakiegoś nowego bumerangu – bo już nie koła...

Matematyka opisuje idee. Prosta istnieje w rzeczywistości matematycznej i fizycznej – bez względu na bieg promienia światła. To fizyka staje się liryczna – tak nazywając to zjawisko. To nie fizyka newtonowska i geometria euklidesowa poległy, a pojawiły się osobliwości w samej fizyce jako nauce – do opisu których trzeba było uciec się do języka poezji.

Poezja – na szczęście – w swoich poszukiwaniach koncentruje się na człowieku. Jednak i tu kończy się okres zamknięcia na wyłącznie socjologiczne i psychologiczne podejście do człowieka, co obowiązuje od czasów Rewolucji Francuskiej – na ścisłych związkach z tymi naukami i wzajemnym pobudzaniu się do rozwoju. – Możliwości takie wydają się być wyczerpane lub bliskie wyczerpania.

Koło się zamyka – lub na nowo otwiera; i musi ulec otwarciu. Skoro poezja i fizyka, a z nią matematyka, zaczynają mówić tym samym językiem, uciekać się do obrazu i symbolu.

Skoro być fizykiem znaczy być poetą; a być poetą, to teraz być trochę fizykiem – odchodzić od postrzegania w poezji świata i rzeczywistości w kategoriach jakie proponowały psychologia i nauki społeczne. Oznacza to zwrot ku nowej rzeczywistości – w poezji ku nowej rzeczywistości. Czekają nas dopełnienie, albo ujęcie rzeczywistości – taką jaką postrzegamy i czujemy, poprzedzone jednak wielką herezją.

Krytyka literacka i nauki zamknięte w akademickich koncepcjach linearnego, a przede wszystkim odosobnionego rozwoju – myślę przede wszystkim o tzw. naukach ścisłych, rozmytych i urojonych – zagubiła się w rzeczywistości, którą sama stworzyła. Podobnie gubić się zaczyna poezja, odwołująca się do symboli i nauk humanistycznych i społecznych.

Krytyka – zinstytucjonalizowana w uniwersytetach, broni jedynie segregacji i układów – które jednak przynoszą wcale nienaukowe i nieliterackie profity (krytykom i broniomym przez nich pupilom).

Krytycy niech więc baczą, czy nowi szarlatani-heretycy nie gonią wyłącznie za złotem, albo zamiast złota nie dają nam jakiejś nowej, ultranowoczesnej miki.

**Sławomir Matusz**



## W DAWNYM TEATRZE SOSNOWIECKIM:

aktorzy (cd.)

Pewna stabilizacja w sosnowieckim światku aktorskim nastąpiła podczas pięcioletniej dyrekcji Jerzego Gołaszewskiego, który utrzymując zespoły kilkunastoosobowe z rzadką wymianą je w całości, a tych artystów, którzy odchodzili z końcem sezonu zastępował, bądź doświadczonymi aktorami z Warszawy, bądź utalentowaną młodzieżą aktorską, tworząc towarzystwa wyrównane pod względem umiejętności. Ujawniane były wtedy gaże, które niejednemu, nawet znanego artystę, mogły zachęcić do pracy w teatrze prowincjonalnym. Na przykład, przed otwarciem sezonu 1933/34 zapowiadano, iż najniższe gaże będą wynosić 250 zł, najwyższe 350 zł, a więc sporo, jeżeli porównać je choćby z przeciętnym w owym czasie zarobkiem robotnika. Z czasem okazało się, że pensje aktorów, pobierane procentowo od wpływów kasowych brutto, były dużo niższe niż planowano. W rzeczywistości, z powodu słabej frekwencji, we wrześniu 1935 roku najniższe gaże wyniosły niewiele ponad 97 zł, zaś maksymalne z ledwością przekraczały 136 zł. Ale już w marcu następnego roku, przy większym zainteresowaniu publiki i zwiększonej liczbie przedstawień zarobki te kształtowały się odpowiednio: 150 zł i 212 zł.

O wiele większe gaże otrzymywali gwiazdorzy bywający w Sosnowcu na gościnnych występach. Honorarium Eugeniusza Bodo w 1938 r. sięgało dziennie 100 zł plus 30% kasy od przedstawienia.

W ostatnim sezonie za kadencji Gołaszewskiego występy głośnych artystów miały być, jak zwykle, ratunkiem upadającego przedsięwzięcia, nieoczekiwanie jednak przyczyniły się do ostatecznego pogrążenia teatru. Miały na to prawdopodobnie wpływ wygórowane żądania finansowe przyjezdnych artystów oraz fakt, że zespół, z braku publiczności, podzielił się i dwiema grupami wyruszył w objazd po kraju. Wynikiem tej niefortunnej imprezy był kres dyrekcji Gołaszewskiego. Bodo wraz z dyrektorem i dziesięcioma aktorami nie wrócili już w komplecie do teatru. Druga część zespołu pod wodzą znanego artysty filmowego Stanisława Sielańskiego, po kilku dniach tułaczki o głodzie i chłdzie, przerwała objazd w Sandomierzu. Zamiast spodziewanych profitów Sielański stracił, dokładając do całego przedsięwzięcia 700 zł, nie licząc dalszych 200 pożyczonych kolegom, którzy dzięki temu mogli powrócić w marcu 1938 roku do Sosnowca. Tutaj zastali już tylko zamknięty teatr, a w nim chorego, pozbawionego grosza Gołaszewskiego, który właśnie szykował się do rezygnacji z dzierzawy i opuszczenia placówki. Gdy-

by Sielański i Bodo dłużej pozostali w Sosnowcu, być może ich przygoda z miejscowym teatrem zakończyłaby się większym sukcesem. Wiadomo, że artyści warszawscy z pierwszych miejsc na afiszu czy plakacie filmowym, zawsze mogli być pewni życzliwego przyjęcia. W stolicy Zagłębia, oprócz już wymienionych, z takim właśnie przyjęciem spotykali się między innymi: Stanisława Wysocka, Helena Sulima, Maria Przybyłko-Potocka, Irena Solska, Wojciech Brydziwski, Kazimierz Janosza-Stępowski, Karol Adwentowicz, Stefan Jaracz, Adolf Dymśza, Franciszek Brodniewicz. Wspomnieć też wypada, iż rozrywki estradowej na wysokim poziomie zapewniały popisy artystów tej miary co Loda Halama, Hanka Ordonówna, czy chór „Dana” z udziałem Mieczysława Fogga.

Aktorzy, których nazwiska znała cała teatralna i filmowa Polska byli jednak dla sosnowiczian strawą duchową od święta. Na co dzień mieli do czynienia z aktorami własnymi, wśród których nie brakowało też zdolnych „dzieci Melpomeny” starających się, nieraz z powodzeniem, dotrzymać kroku sławą tym ze stolicy. Na naszej scenie odnosili pierwsze sukcesy wybitni później artyści, z których godzi się wymienić najlepszych. Za dyrekcji Henryka Czarneckiego, w zespole operetkowym wyróżniały się Loda Rogińska i Zofia Bonecka, zaś z aktorów dramatycznych Jadwiga Hojnacka i Kazimierz Opaliński. Wśród aktorów Romana Tańskiego lubiana przez publiczność była 22-letnia urodziwa Janina Niczewska. Uznanie krytyków cieszyła się uzdolniona i przystojna Janina Piaskowska, znany wcześniej z teatrów warszawskich Edmund Szafrąński oraz wszechstronnie utalentowany Jerzy Gołaszewski. Dyrekcja tego ostatniego to czasy popularności wśród widzów i recenzentów Wiktorii Arciszewskiej, Janiny Anusiakówny, Adama Mikołajewskiego i młodego Tadeusza Fijewskiego. Oni i wszyscy ich mniej obdarzeni talentem partnerzy łączyli swoje aktorskie życie, często na wiele sezonów, ze sceną w Sosnowcu, dając publiczności wiele wzruszeń.

Los artystów sosnowieckich był udziałem niemal wszystkich ich kolegów w innych teatrach prowincjonal-

nych. Angażowani z sezonu na sezon, zdani na zaradność dyrekcji i kaprysy publiczności, niepewni jutra, rzadko, jak się wydaje, wiązali swe nadzieje z Sosnowcem, jako miejscem względnie stałej pracy i życiowej stabilizacji. Dla większości scena zagłębiowska była okazją do przetrwania jeszcze jednego sezonu; młodym i zdolnym dawała aktorskie ostrogi i posmak popularności, najwybitniejszym zapewniała lokalną sławę, zdjęcia w gazetach i pochlebne recenzje. Dla tych ostatnich Sosnowiec był nierzadko pierwszym etapem prawdziwej kariery scenicznej. Wszystkim teatr tutejszy ofiarował jednak mniej niż inne tego typu placówki. Ubóstwo materialne teatru, jego finansowa chwiejność, a wreszcie specyficzne warunki regionu, bardziej uczulonego na przesilenia kryzysowe - to były dodatkowe niedogodności w życiu sosnowieckich artystów, nieznane szczęśliwcom pracującym w teatrach lepiej dotowanych, więc zasobniejszych.

\*\*\*

Rzecz o sosnowieckich aktorach z międzywojnia warto uzupełnić szkicem o postaci mało znanej aktorki - Niny Veith. Jej tragiczny los splótł się z historią ostatnich miesięcy teatru przed wybuchem wojny. Na tle pokazanych tu z odłaj dzieci Melpomeny jej biografia rozjaśni być może, mało dziś wyraźne sylwetki artystów uwikłanych w dziejowe wydarzenia.

Nina Henryka Veith gdyby żyła do dziś, miała 86 lat. Zanim przyjechała do Sosnowca przez dwa sezony występowała w Teatrze Wołyńskim w Łucku, gdzie dostała angaż po ukończeniu w Warszawie (1936) Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Do stolicy Zagłębia zaangażował ją nowy dyrektor, Kazimierz Vorbrot. Miała wtedy zaledwie 23 lata i choć w zespole należała do mniej doświadczonych aktorek, rychło zasłynęła, jako zdolna amantka.

W jednej ze sztuk otwierającej sezon, trzeciorzędnej komedyjce M. Laszlo „W perfumerii”, najbardziej na oklaski

ciąg dalszy na str. 10



Nina Veith w „Don Juanie”.

zastąpiła właśnie Nina Veith i jej młody partner Wiktor Domański. Parę uzupełniał w roli charakterystycznej bardziej znany Marian Bielecki i dzięki tej trójce „przez trzy akty widowia rozbrzmiewała szczerym śmiechem, a ręce piekły od okłasków”.

10 grudnia 1938 roku aktorka zagrała w „Don Juanie” J. Zorilli z powodzeniem partnerując Kazimierzowi Vorbrodowi i Jadwidze Butkiewiczowej.

Z tej sztuki zachowało się jedyne być może zdjęcie artystki w roli. Fotografia ujawnia subtelną jej urodę podkreśloną stylowym kostiumem. Dobre zewnętrzne warunki sprawiły, że grała coraz częściej, zyskując uznanie widzów i prasy, zwłaszcza w komediach. Chwalono ją w „*Sprawie Kaisera*” L. Starka i A. Sisle-  
ra (premiera 25 marca 1939 roku), a także, gdy wystąpiła obok gwiazdy ze stolicy, Franciszka Brodniewicza, grającego gościnnie na sosnowieckiej scenie w „*Gałganku*” D. Niccodemiego. Zapewne Brodniewicz przyćmił nazwiskiem wszystkich prowincjonalnych kolegów, niemniej sprawozdawca w trzy dni po premierze (13 maja) wyraźnie zaznaczył, że najbardziej oklaskiwano Veithównę, która „okazała się dużym talentem”. W tej popularnej wówczas komedii młoda aktorka pokazała się 13 razy, dając dowód, że zdobyta popularność nie była przypadkowa.

Udana rola w „*Gałganku*” okazała się jedną z ostatnich w jej karierze. W czerwcu 1939 oglądano ją jeszcze w komedii A. Hopwooda „*Jutro pogoda*” i w „*Pannie Malczewskiej*” Zapolskiej.

Gdy 1 września okazało się, że teatr nie rozpocznie nowego sezonu, Nina Veith wróciła do Warszawy, do rodziców, by wkrótce potem zaangażować się w konspiracyjną walkę. Pod pseudonimem „Ninka” pracowała w komórce wywiadowczej kierowanej przez Stanisława Jeute, pseudonim „Wilk”. Prowadziła nasłuch radiowy i tą drogą przekazywała wiadomości z okupowanego kraju. Podobno także ukrywała u siebie angielskich zrzutków.

Służba w konspiracji okazała się dla aktorki jeszcze krótsza niż jej kariera sceniczna. Już 23 lutego 1942 roku doszło do tragicznej w skutkach wyspy, podczas której aresztowano trzon komórki, również „Ninkę” i „Wilka”. Przesłuchiwana na Szuca trafiła na Pawiak, skąd po kilku dniach przewieziono ją do osławionego więzienia śledczego przy Alexanderplatz w Berlinie. Po ciągłym się wiele miesięcy śledztwie i związanej z nim udręce, 26 maja 1943 roku Nina Veith została stracona w Berlinie przez ścięcie głowy toporem.

Przywołana z otchłani niepamięci Nina Veith pozostała we wspomnieniach jako utalentowana, subtelną dziewczyna o ujmującej powierzchowności. Bohaterstwo i okrutna śmierć stały się dopełnieniem krótkiego, dorosłego życia, rozpoczętego na rozświetlonej scenie, a zakończony w mroku więziennego dziedzińca.

V.W.J. Żywot

Tadeusz Złotorowicz

## Dziwna wojna

Przedstawiamy drugi fragment wspomnień wojennych Tadeusza Złotorowicza „*Droga do Ojczyzny*”. Tym razem rzecz dotyczy działań na froncie francusko-niemieckim wiosną 1940 roku zakończonych niewolą autora.

Tych dwóch szło wciąż w naszym kierunku, wprost na moje stanowisko. Byłem przekonany, że nie są przebraniymi Niemcami, dla porządku jednak trzymałem broń w pogotowiu. Mundury mieli francuskie, hełmy francuskie, a przez ramiona mieli przerzucone zrolowane koce.

Dopuszciliśmy ich blisko. Okazało się, że to nasi grenadierzy. Przez dwie doby byli w marszu, w dzień odpieranie ataków, w nocy odskok. Usnęli na postoju, koledzy odeszli a oni zostali. Kiedy się obudzili, nie mogli trafić do swojej kompanii, po prostu zabłądzili. Słyszając wkoło strzelaninę, wybrali kierunek gdzie nie było wybuchów i w ten sposób trafili na nas. Tu rzeczywiście przez pewien czas było spokojnie, dopiero koło południa ostrzelała nas niemiecka artyleria. Były znaczne straty w ludziach i sprzęcie.

Do naszych stanowisk pociski, na szczęście, nie dochodziły. Późnym wieczorem przybiegł goniec z rozkazem natychmiastowego wymarszu. Tym razem uniknęliśmy okrażeń.

Podczas służby wartowniczej, w nocy z 14 na 15 czerwca, stałem na posterunku przy budynku zajmowanym przez dowódcę kompanii. Niechcący podслуchałem rozmowę dwóch oficerów, którzy nie zwracali uwagi na to, że stoję tuż obok. Dowiedziałem się, że armie niemieckie porobiły ogromne postępy, że Paryż nie był broniony, że Francuzi oddali swoją stolicę bez walki. Wyraźnie usłyszałem jak jeden z nich powiedział: „*Gdyby nie to, że noszę polski mundur, gdyby nie to, że jestem Polakiem, już by mnie tu dawno nie było*”. Pomyślałem, choć nie jestem oficerem, to gorczy też nie jestem i samowolnie się nie oddalę (...)

Po forsownym nocnym marszu o świcie 16 czerwca, nasz trzeci pluton znalazł się w miejscowości Louderfing. Dowódca rozkazał przygotować stanowiska ogniowe w odległości około 20 metrów przed dużym, murowanym budynkiem, który ktoś nazwał elektrownią. (...) Po czterech godzinach tkwiłmy już w solidnych stanowiskach czekając spodziewanego ataku. Stojąc przy swoim dobrze zamaskowanym rkmie pilnie obserwowałem nasze przedpole. Widoczność była dobra. Z lasu na prawo od naszych stanowisk, w odległości około kilometra wybiegli jacyś żołnierze i przez otwartą przestrzeń usiłowali dostać się do zadrzewionego wzgórza po naszej lewej stronie. Do

biegnących nasze ckm-y otworzyły ogień. Na moich oczach rozgrywała się niesamowita tragedia. Jakaś kompania polskich grenadierów, która na skutek nieznanymi mi okoliczności znalazła się tam, skąd spodziewaliśmy się ataku Niemców, dostała się pod nasz ostrzał. Widać było, że niektórzy z nich ostrzeliwują las, z którego wybiegli. Wycofywali się pod naporem Niemców i wpadli pod boczny ogień naszych ckm-ów. Prawdopodobnie byłem pierwszym, który zorientował się w sytuacji. Po moich okrzykach ogień przerwało.

Tymczasem część grenadierów dobiegła do zarośli. Na otwartej przestrzeni zostali tylko ci, którzy z pełnym poświęceniem wciąż powstrzymywali Niemców lub pomagali rannym, a tych było niestety wielu. W ślad za wycofującą się polską kompanią zaczęli z lasu wychodzić Niemcy. Ogień naszej broni maszynowej okazał się bardzo skutecznym. Podczas gdy Niemcy leżeli niemal bez ruchu pod naszym ostrzałem - grenadierzy osłaniający odwrót kolegów mogli już spokojnie odskoczyć i dołączyć do swoich. Teraz cała uwaga nacierających skoncentrowała się na nas. Pociski artyleryjskie padały gęsto i nieprzyjemnie blisko, jednak nie wyrządzały większych szkód. Nadal wszelkie usiłowania Niemców zbliżenia się do nas były skutecznie likwidowane (...)

Komentując głośno nasz sukces, bo tak trzeba było nazwać zatrzymanie natarcia i umożliwienie kompanii grenadierów oderwanie się od pościgu, zostaliśmy zaskoczeni rozkazem opuszczenia stanowisk. Kilkoma skokami znalazłem się po drugiej stronie budynku elektrowni. Widziałem żołnierzy drugiego plutonu, którzy w pośpiechu, bez ekwipunku, a niektórzy nawet bez broni, biegli w stronę lasu. Nasz pluton nie miał kłopotu z zabraniem swojego wyposażenia. Nie mieliśmy problemów ze zbiórką i wycofaliśmy się w idealnym porządku. (...)

Po niesamowicie forsownym biegu dopędziłem pluton. Tymczasem z gęstych zarośli wyszedł wprost na naszą czołówkę jakiś sierżant podchorąży z podniesionymi do góry rękoma i okrzykiem „*Kameraden, niech schissen*”. Za nim wyszło kilku żołnierzy. Mieli bardzo głupie miny kiedy zorientowali się, że jesteście Polakami.

Być może moje wcześniejsze okrzyki wprowadziły ich w błąd. Byli przekonani, że to niemiecki oddziałek i zamierzali się poddać. Plutonowy podchorąży Stefan Żebroć kazał im maszerować przed plutonem.

Po kilku kilometrach wyczerpującego marszu dołączyliśmy do plutonu wypoczywającego w lesie. Potrzebowałem sanitariusza. Sanitariusz bardzo się zmartwił, bo - okazało się - nie ma nawet torby. My, żołnierze musieliśmy wszystko nosić ze sobą, tymczasem sanitariusz wiózł torbę na biedce i nawet muła nie umiał dopilnować. Twierdził, że muł uciekł sposzonym strzelaniną. Wyznam, że miałem wątpliwości, kto komu uciekał. (...)

Kiedy osiągnęliśmy szczyt wzniesie-

nia, zobaczyłem na prawo od naszej drogi oddział kawalerii niemieckiej. Robili wrażenie, jakby uciekali przed naszym prawym skrzydłem. Pluton rozwinął się w tyralierę. Naszej drużynie wypadało przedrzeć się przez winnice. Gęste krzewy winorośli, wsparte na drutach zagroziły nam skutecznie drogę. Nożyce do drutu w drużynie były tylko jedne. Część więc ugrzęzła w gęstej winorośli.

Po obejściu winnicy i dojściu do stołu zostaliśmy gwałtownie ostrzelani. Niemcy strzelali z ciężkiej broni maszynowej świetlnymi pociskami. Ogień nasilał się z każdą chwilą. Ponieśliśmy dotkliwie straty. Kpr. Wilczyński został ciężko ranny, zginął grenadier Żuk, ranni byli Paszak, Pytel i Czerski. Do kolegi Stanisława Kowalskiego podbiegli dwaj Niemcy z okrzykiem „*Hoende hoch*”. Strzeliłem w ich kierunku. Obaj Niemcy padli, ale również padł Kowalski. Przez wiele tygodni zamartwiałem się, że to przeze mnie. Dopiero w końcu sierpnia dowiedziałem się, że Kowalski żyje, a ranny został od niemieckiego strzału.

Ogień nasilał się z każdą chwilą, już nie tylko z broni strzeleckiej, ale również gęsto wybuchały granaty. Nagle poczułem potężne uderzenie w twarz i piekący ból. Odruchowo zamknąłem oczy. W ustach miałem pełno krwi ale, co stwierdziłem z zadowoleniem, zęby były w komplecie. Odważyłem się otworzyć oczy i stwierdziłem, że nie mam... nosa. Krwawiłem obficie. Leżący obok tadowniczy Pytel był ranny w rękę. Usiłowałem założyć opatrunek. Spowodowało to tylko wścieklejszy jazgot kilku niemieckich karabinów maszynowych. Nasze plecaki poszarpane pociskami zwiślały z pleców w strzępach. Od lewej strony zbliżali się Niemcy. Było ich wielu, krzyczeli głośno. Podniosłem się z trudem. Z naszego 35-osobowego plutonu zostało nas dziesięciu, wszyscy ranni. Niemcy podchodzili coraz bliżej, kazali zdejmować plecaki i hełmy. Zdjąłem i ja. Na kryzie hełmu miałem trzy dziury zrobione przez trzy pociski. Ładna seria, dobre skupienie, dobry celowniczy, pomyślałem. Dokuczało mi pragnienie, niestety manierka nie istniała, pozostało po niej tylko nieco bezkształtnej blachy.

Doprowadzono nas do drogi. W dużych transporterach siedzieli w pogotowiu uzbrojeni żołnierze. Ktoś powiedział, że to dywizja gdańska. Oto, pomyślałem, ironia losu. Nie chcieli Francuzi walczyć za Gdańsk, mają teraz gdańszczan u siebie, może wreszcie coś z tego wszystkiego zrozumieją.

W takich warunkach, 16 czerwca 1940 roku zostałem wyeliminowany z szeregów walczących. Teraz byłem jeńcem ustawionym na skraju drogi w gromadzie sobie podobnych. Przyszłedt lekarz w stopniu majora i po kolei, oświetlając nas ręczną latarką, dokonał przeglądu. Musiałem wyglądać okropnie ze zmiażdżonym nosem i brodą w strzępach, skoro na mój widok wyrwało się majorowi głośne „*ajajajaj*”. Przeszedł do następnego jeńca.

Tadeusz Złotorowicz

## Gombrowiczowska „gęba” w operetkowych dekoracjach

Sztuki Witolda Gombrowicza zaczęły docierać do naszego teatru dopiero w ostatnim dziesięcioleciu. Po „*Iwonie, księżniczce Burgunda*” mamy teraz „*Operetkę*”, której światowa premiera przypadła na rok 1969, kiedy też autor, w wieku 65 lat zmarł na emigracji. Pisarz o ziemiańskim rodowodzie, emigrant - to nie była dobra rekomendacja. Jego sztuki grano rzadko, tym bardziej, że miały opinię trudnych.

Nowa premiera w Teatrze Zagłębia jest więc i z tego względu godna zauważenia. Myślę, że fakt, iż „*Operetka*” pojawia się u nas w 26 lat po polskiej prapremierze (1975) nie umniejsza wagi tego wydarzenia. Świadomie używam słowa „wydarzenie”, ponieważ przygotowanie spektaklu wymagało rzetelnej pracy wielu ludzi i nie jest to bynajmniej trud bezowocny - nowemu przedstawieniu, choć trudne, zapowiadam duże powodzenie.

Obawiam się jednak, że dla wielu widzów tytuł może okazać się mylący. Sam Gombrowicz wyznaje, że forma operetki zachwyca go „boskim idiotyzmem”, bo jest za sprawą swoich atrybutów - śpiewu, tańca, gestu - „teatrem doskonałym, doskonałym teatralnym”. Lecz, jak tu wypełnić - zastanawia się dalej - „marionetkową pustkę operetkową istotnym dramatem? Co zrobić, żeby przez tę formę przemówiła głosem historii?” Operetka zatem jest tylko pretekstem dla pokazania spraw związanych z historią wieku: upadku władzy, demokracji, rodzącego się totalitaryzmu, refleksji nad przyszłością świata. Autor odwołuje się do metaforycznej opozycji stroju i nagości. „Historia dwudziestego wieku przedstawiona jest jako swoistego rodzaju rewia mód, a szaleństwo stroju obrazuje schorzenia niszczącej ludzką podmiotowość ideologii”.

Strój w dramacie ma także wymiar społeczny; jest znaną z „*Ferdydurke*” gombrowiczowską „gębą” i formą różnicującą ludzi w hierarchii społecznej. Strojem są gesty, obyczaje, idee, które mogą zeszywnieć w maskę albo przebranie. Można je zmienić, przekazać innym. Strój jest „gębą” powielaną masowo. Człowiek dojrzały może wprawdzie zmieniać maski, manipulować nimi, jest jednak cały czas niewolnikiem uzależnień wynikłych ze stroju. Kiedy w III akcie Fior mówi do arystokratycznego towarzysza: „*Przyjaciele wróćcie do siebie! Zrzućcie te przebrania!*”

Księżę odpowiada:

„...w tym rzecz cała, że już nie można...”

Tylko młodość, ponieważ nie zdążyła jeszcze przybrać „gęby”, jest wolna od maski-stroju. Albertynka, młody obiekt pożądania dwóch starych rozpustników, jest naturalna i piękna w swej młodości, a jej dosłowna nagość w zakończeniu sztuki staje się apoteozą spontanicznej swobody, mającej ocenić pełnię człowieczeństwa.

Partytury teatralne, jak sam Gombrowicz nazywa swoje dramaty, zawsze nastrojąca inscenizatorom sporych trudności. Ich rzeczywistość „tworzy się na naszych oczach, zwiewna i nieukończona,

z międzyludzkich starć, z refrenów językowych, z gestu”. Nie ma tu tradycyjnej scenarii, znanej choćby z dramatu mieszczańskiego, zaś próba wznoszenia „nowej rzeczywistości zrodzonej z międzyludzkiej gry” jest dla reżysera okazją do wykazania swojej potencji twórczej, ale kryje też pułapki. W tym miejscu należy pochwalić robotę reżyserską Jacka Bunscha. Świat gombrowiczowskich postaci zbudowany jest czytelnie i z rozmachem; chwilami scena wydaje się zbyt mała, pęka w szwach, kipi nadmiarem osób i ruchu, ale inwencja reżyserska nie budzi wątpliwości. Trafna wydaje się na przykład koncepcja, aby w akcie III, po katastrofie dziejowej (wojnie? rewolucji?) pokazać bohaterów w atmosferze i przy rekwizytach przypominających syberyjskich zesłańców. Za ryzykowny natomiast uznałbym pomysł wprowadzenia do tegoż aktu Szarma i Filureta w nowych, współczesnych strojach - tym razem hippisowskich. Czas sceniczny nie ma tu aż takiego znaczenia, niemniej zabieg razi sztucznością. Obaj bohaterowie - według didaskaliów - na długo przed I wojną mają 35 lat, zatem w czasach „dzieci-kwiatów” powinni być zgrzybiałymi starcami, czego na scenie oczywiście nie widać - obaj tryskają dawną energią. Niby drobiazg, ale widz, nawet nie znający sztuki, natychmiast go wyłowi. Niewielkie to uchybienie i jeśli dodać, że dwa pierwsze akty, według uwag Gombrowicza, tętnią muzyką, kuleptami i tańcami, a melodie łatwe są i stare (tu ukłon w stronę autorów muzyki i choreografii), udało się reżyserowi pokazać to, co sugerował w komentarzu pisarz: „*Monumentalny idiotyzm operetkowy, idący w parze z monumentalnym patosem dziejowym - maska operetki, za którą krwawi śmiesznym bólem wykrzywione ludzkości oblicze...*”

Aktorstwo w nowym przedstawieniu to bez wątplenia druga, mocna strona przedstawienia. Publiczność nie często nagradza brawami aktorów przy otwartej kurtynie, a tak było tym razem, przy niektórych scenach zbiorowych, dopracowanych w szczegółach.

Duże brawa przyznaję Wojciechowi Leśniakowi za niełatwą rolę hrabiego Szarma, znakomicie zagranej postaci księżnej Himalaj, arystokratycznej Barbarze Lubos-Święs. Także Joanna Litwin, grająca Albertynkę, zasługuje na wyróżnienie za wdzięk, wytrwałość i - bądź co bądź - odwagę w końcowej scenie.

Można przypuszczać, że widzowie dobrze odbiorą „*Operetkę*” i wychodzić z niej będą w przekonaniu, że obejrzały kawał dobrego teatru.

W. J. Żywot

Teatr Zagłębia w Sosnowcu  
Witold Gombrowicz, „*Operetka*”  
Reżyseria - Jacek Bunsch  
Muzyka - Janusz Grzywacz  
Choreografia - Henryk Konwiński  
Scenografia - Anna i Tadeusz Smoliczy  
Premiera - 19 maja 2001.

## Parmenides z Sosnowca

**WOJCIECH BRZOSKA** to drugi z młodych sosnowieckich poetów – obok Pawła Barańskiego – jacy ujawnili się w ostatnich kilku latach. Obaj dużo publikują w prasie, wydają kolejne książki poetyckie. W ubiegłym roku Brzoska wydał aż dwie pozycje: arkusz „*Śmierć pozuje do zdjęć*” (seria „*Kontrapunkty*” MOPT Dąbrowa Górnicza 2000) i tomik „*Blisko coraz dalej*” (Inst. Wyd. „*Świadectwo*”, Bydgoszcz 2000). Wcześniej odnotujemy arkusz „*Przeskok*” wydany przy kwartalniku „*Opcje*” (nr 4/98) i udział w znaczącej antologii młodej poezji Śląska i Zagłębia pt. „*W swoją stronę*” (2000).

„*Śmierć pozuje do zdjęć*” jest przygotowanym do tomiku bydgoskiego – arkuszem wydanym niejako „po drodze”, przy okazji spotkania autorskiego młodego poety. Można więc te pozycje omówić razem. Rozważania o poezji Brzoski warto zacząć od cytatów: „*zbliżać się zapominając/ o rosnącej wciąż/ temperaturze*” – to cały, krótki wiersz zatytułowany „*zbrodnia ikara*”, który ujawnia ontologiczne i metafizyczne zainteresowania jego autora. Ich potwierdzenie znajdziemy niemal w każdym utworze – na dowód przytoczę tytuł jeszcze jednego z wierszy „*Jezus żyje, ja jestem martwy*”. Oba cytaty obracają się wokół pojęcia i problemu bytu i niebytu – pojęć kluczowych dla filozofii. Antyczny, grecki filozof, Parmenides chciał zaprzeczyć pojęciu niebytu. Jak zauważa Paul Tillich – tym razem niemiecki, współczesny filozof, teolog i komentator – w swojej książce „*Męstwo bycia*”, by to uczynić, Parmenides musiał poświęcić pojęcie życia. Oba przytoczenia wierszy Brzoski wskazują na nie inne, a parmenidejskie właśnie zakorzenienie jego prywatnej filozofii. Ciekawe, że w wierszach młodego (rocznik 1978) nie ma erotyki – za to jest jej zaprzeczenie – jak w wierszu o znamienym tytule „*matematyka dżwignia staników*” lub w teologicznym ujęciu w wierszu „*w trzech osobach*”: „*trzecia – z górami w myślach, myślami w górach,/ z plecakiem obok zgrabnych nóg./ bez żadnego pisma przed oczami, ze świętem/ w oczach (dziewczęca twarz porysowana/ promieniami słońca)*”. Inny mistyk grecki, Plotyn posługiwał się niebytem, by opisać zatracenie ludzkiej duszy, Augustyn dla zrozumienia ludzkiego grzechu – jak w wierszu Brzoski „*wszystko gra*”: „*grzechy jak fałszywe karty...*”. Parmenides jawi się jako jeden z prekursorów późniejszej chrześcijańskiej teologii negatywnej – czyli teologii zaprzeczenia – jako drogi dojścia do pozytywnego obrazu. Obojętnie, czy Brzoska zaprzecza niebytowi, by poznać byt, czy czyni odwrotnie – wydaje się podążać tą drogą w swoich zamierzeniach poetyckich. Św. Grzegorz z Nyssy opisuje rozjaśnienie duszy ludzkiej w kilku fazach. Najpierw nawrócenie się ku Obrazowi postępuje przez przejście z ciemności do światła. Ale jak dusza przenika głębiej boski pierwiastek, światło ulega przyćmieniu. Obłok tego przyćmionego światła, obłok niewiedzy, przysłania świat zjawisk. W końcu dusza dostępuje pełnej boskiej wiedzy – jednak tu ciemność otacza ją zewsząd i poza rozumem, poza zmysłami staje się świadoma niewidzialnej obecności.

Zainteresowania trynitarnie (wiersz pt. „*w trzech osobach*”) zbliżają Brzoskę do innego średniowiecznego mistyka, Jana Rusproca, który postrzegał duszę w ciągłym

akcie jej łączenia się i odłączania z Trójcą Świętą – przypominającym ruch wody, na przykład morza. W tym ruchu – wewnątrz Trójcy i pomiędzy Trójcą i człowiekiem – nieustannie rodzą się Osoby boskie, w czym uświadamiają nam jedność natury. Brzoska w przywoływanym wierszu „*w trzech osobach*” pisze: „*właśnie teraz, w jednym autobusie/ następuje bezimienne połączenie/ trzech dróg. to zwykle dzieje się/ w trzech osobach, niekoniecznie/ boskich. odwróćni tyłem// do siebie, przodem do światła, w które wierzą, wzajemnie nieświadomi swojej/ obecności – w przeciwnym razie na pewno/ chcieliby znaleźć przynajmniej jakąś/ kartkę i długopis, które mogłyby zaświadczyć...*”. Wojciech Brzoska, obecny w tej podróży za nich zaświadcza.

Poetycko Brzoska bliski technikom Nowej Fali – a szczególnie Stanisławowi Barańczakowi, z jego kunsztownymi, opartymi na antytezach i sprzecznościach metaforami i poetyce baroku. Zdecydowanie zrywa z nader modnym i pospolitym różewiczowskim modelem wiersza. Jednak na szczęście Brzoska nie wika się w spory literackie ostatnich dekad – nie polemizuje, ani nie odżegnuje się od nikogo, ani nie dochodzi politycznych korzeni nowofalowej poetyki. Wskazana tradycja poetycka jest dla niego raczej źródłem przeżycia estetycznego – i jeśli wyciąga jakieś inne jeszcze wnioski z lektury Barańczaka, to raczej eschatologiczne niż egzystencjalne, z którymi zeświecczony „teolog negatywny” Barańczak by się nie zgodził i z pewnością by im się zdziwił. Mniejsza o Barańczaka – na zakończenie przytoczę kilka oryginalnych metafor Brzoski: „*złamane zamknięcie*” (to tytuł jednego z wierszy), „*niebo nakłuwia ziemię*” (wiersz „*niedogrzeni w podróży*”), „*nóż, w którym jesteśmy zamknięci*” (wiersz „*krew na masce, krew na twarzy*”), czy rozbudowana metafora i porównanie zarazem: „*zwiędnęty anioł w kolorze nieba nad Sosnowcem*” – z wiersza „*niebo nad Sosnowcem*”.

Stawomir Matusz



Wojciech Brzoska, „*Śmierć pozuje do zdjęć*” – seria „*Kontrapunkty*” pod redakcją Teresy Pałowskiej-Chwalczyk i Pawła Łekszyckiego, Młodzieżowy Ośrodek Pracy Twórczej, Dąbrowa Górnicza 2000.  
„*Blisko coraz bliżej*” – Instytut Wydawniczy „*Świadectwo*”, 2000.

## Wyciskać Świat

Już w samym tytule zbioru zawarta jest dwuznaczność. Do czego jest tak blisko, a w gruncie rzeczy - daleko?

Ludziom - do samych siebie, światu - do rozpadu, życiu - do śmierci, chaosowi myśli - do ich uporządkowania, pocie - do stworzenia prawdziwego krajobrazu swych refleksji.

Dwa kluczowe motywy: miłości i kresu istnienia splatają się z sobą. Miłość staje się zlepkiem ciągłych powrotów i rozstań, obaw i chwil pewności co do uczuć wybranki. Ciemna tonacja wierszy zespala się z tonacją jasną, po zachodach słońca następują wschody...

Poprzez komponowanie ze sobą słów, a czasem dzięki przemilczeniu poeta próbuje odnaleźć prawdę o życiu, dotrzeć do zakamarków tajemnicy. Wiedza o naszym istnieniu rodzi się czasem w cierpieniu, przypomina bolesny poród. Stąd tak częste w tej poezji motywy somatyczne; to poprzez ciało – często kalezione - podmiot wyraża swoją łączność ze światem. Równocześnie wie, że odnajdywanie spełnienia poprzez cielesne połączenie z kobietą bez więzi z nią duchowej, to tylko niewiele znacząca chwila.

W wielu wierszach można doszukać się odniesień do czasów współczesnych, do społecznych problemów. Z poetyckich wizji wylania się także obraz rodzinnego miasta, a także wizerunek kultury masowej - agresywnej i zaborczej. Podmiot wierszy obawia się zatracenia swej tożsamości, utonięcia w szarym tłumie. Woli być raczej egzystencjalnym podróżnikiem, który ciągle szuka wyspy - azylu od zgiełku świata. Nie chce się buntować, przez jego postawę przebijają raczej gorzka ironia, woli z wyrozumiałością pochylić się nad światem i człowiekiem.

Większość utworów z tomiku „*Blisko coraz dalej*” ma charakter refleksyjny i intelektualny. Podkreśla go niebywała umiętność posługiwania się skrótem myślowym, grą słowną opartą na wieloznaczności poszczególnych słów, eksponowaniu przedziwnych układów stopionych ze sobą metafor - zagadek. Stąd wielokrotnie do odczytania niektórych wierszy potrzebny jest tajemny szyfr. Poeta prowokuje i zachęca - rozwiąż mój rebus.

W nurcie metapoetyckim odnajdziemy także szczerze wyznanie twórcy, że zmaganie się ze słowem to ciężka praca, niełatwo bowiem „*wyciskać świat jak ogromną cytrynę w swojej okowirówce*”. Poznanie poetyckie polega na dotarciu do tajemnicy jednostkowego istnienia, do jego paradoksów, a sama poezja to coś, w co się wątpi i co jest równocześnie konieczne, choć czasem staje się tylko wynikiem prowokacji („*Tak, dałem się sprokować, wciągnięty w pismo tonę po uszy*”).

W ostatniej strofie, jaką odnajdziemy w tomiku poeta napisał „*ku pocieszeniu*” przyjaciół-poetów, czytelników i samego siebie:

*Bohaterze, przecież i tak najważniejsze są dopiero drugie książki.*

Ufna słowom poety, czekam na następne utwory. Z nadzieją i niecierpliwością, bez pocieszenia, że „*będzie lepiej*”, bo już jest dobrze. Teraz szepnijmy tylko - blisko, coraz bliżej...

Agnieszka Kulik-Jęsień

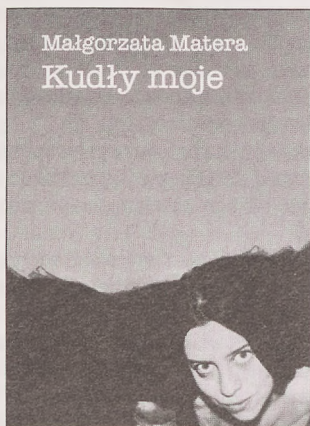
## Anielska płeć

Poezja dla mężczyzn zazwyczaj bywa sztuką konfrontacji ze światem lub walki z nim. Dla kobiet jest jedną ze sztuk wyrażania uczuć lub opisu świata. Nie lubię w poezji kobiecej natrętnego epatowania kobiecymi rekwizytami i biologią - a tego u MAŁGORZATY MATERY, autorki debiutanckiego tomiku „*Kudły moje*” na szczęście nie ma.

Sensualność, o której wypowiada się we wstępie do wierszy, jest dla niej najbardziej naturalnym sposobem kontaktowania się ze światem, poznawania go w ten sposób i poznawania własnej duszy - gdyż inaczej jej poznać, jak tylko w relacji ze światem nie można. To też postawa dziecka - szczerza i naiwna, ale pamiętać należy, że wiek dziecięcy jest tym okresem, w którym człowiek uczy się i poznaje najwięcej w życiu. Lekceważyć takiego podejścia nie można.

Stąd erotyzm najlepszych wierszy, subtelnie łączony z mistyką: „*Stopa ukochała ziemię/ Błądziła po niej nieśmiało/ czule ją dotykała/ Podeksycytowana ilością wrażeń/ Narobiła sobie odcisków*”.

Małgorzata Matera nie zabiega o to by być poetką modną, nie próbuje łatwo szokować i lokować ją należy w tradycji - linii Marii Pawlikow-



Małgorzata Matera, „*Kudły moje*”. Częstochowa 2000. Nakładem WSP.

skiej-Jasnorzewskiej i Haliny Poświatowskiej.

Z drugiej strony, wśród patronów tej poezji wskazałbym angielskich poetów metafizycznych - Johna Donne'a i George'a Herberta - niech za przykład służy taki wiersz: „*Często szare szyby/ Zza których bezcelne anioły/ Podglądają pościel gotową na cud/*

*Cichy głos tłumiony z braku tchu/ i gonitwa za świętą chwilą/ Wdech i wydech w rytm błogosławieństwa/ stróża - nie mężczyzny*”. Miłość to afirmacja świata i siebie w świecie - przepojona erotyzmem, a nie sztywna „świętość” według reguł - zdaje się mówić poetka - jak w przepięknym wierszu prozą „*Kłeska Anioła*”: „*W każdym stawie czuję pulsujące ciepło. Najpierw zginał palce u stóp, próbując złapać fragmenty powietrza. Potem doznanie, przed którym nadal nieszczęrze się bronie, przesuwa się wyżej. Nie uginam kolan, pozwalam pieścić je w zupełnym bezruchu. Gładka skóra robi się lekko czerwona i jakby młodsza. Przymykam delikatnie*

*oczy i wmamiam sobie, że to ze wstydu... Otwieram oczy i żałośnie błagam, aby to nie był sen*”. Więc nie ma mistyki i prawdziwej świętości, bez ludzkiego doznania - jak niemożliwa byłaby miłość Boga, bez posłania Syna, a Anioły pośredniczące między Nim a nami mogą, a nawet powinny mieć pleć

Sławomir Matusz

## Dwa ogrody

W zbiorze zdaje się być wpisana historia ewoluującej osobowości kobiecej: od szalonej, zmysłowej, która potrafi odrzucić swego kochanka, poprzez osobę spragnioną ciepła domowego gniazda, aż do istoty osamotnionej, zagubionej, do „*chorego anioła*”, który żyje na granicy snu i jawy, często wybiera marzenia a nie rzeczywistość. Przeobrażeniami tym podporządkowane są trzy części tomiku: *Kudły moje, Po drodze do miasta, Koniec*.

Pierwsza z nich przynosi utwory zmysłowe, podmiot-bohaterka kusi swoją cielesnością, ale jednocześnie zaczyna zatracać się w kosmicznym chaosie. W kolejnej części pojawiają się rozważania filozoficzne, obrazy odwołujące się do syntezy sztuk: malarstwa, architektury, fotografii i poezji, a w ostatniej, chyba najbardziej osobistej, przenosimy się w świat oniryczno-metafizyczny.

Całość została owiana nutą tajemnicy, osadzona w romantycznym krajobrazie nocy, z zadumanym Gustawem i magicznobajkowymi postaciami w tle. Poetka zdaje się nieraz do nas przemawiać: nie zapominajmy, że jesteśmy dalszym ciągiem, nie zagubmy się w swojej cielesności, ale uwrażliwiamy się na świat poprzez zmysłowy jego odbiór. Bowiemy szczęście wynika z umiejętnego patrzenia na każdą chwilę, a więc i krótkotrwałe, jednostkowe doznania, obrazy mogą cieszyć.

Jest to poezja polifoniczna, która świadczy o poznawczym rozumieniu funkcji poezji. Wiersze Małgorzaty Matera są nieustającą dyskusją podmiotu z samym sobą, światem, Bogiem, kochankiem. Równoprawnymi partnerami tego sporu stają się często: umysł i ciało, osobiste doświadczenia i prawidłowości wpisane w nasze życie, przypadki, pojedyncze doznania i przemyślenia filozofów.

Jan Błoński pisząc o poezji Czesława Miłosza w szkicu *Lęki, sny i prorocтва* wyróżnił opozycję „ogrodów lunatycznych i pasterskich”. Podobny kontrast pojawia się w tomiku M. Matera - ogrodami lunatycznymi rządzią prawa nocy, lęku, snów, a pasterskie - stają się odmianą Arkadii. Krainy szczęścia poszukuje poetka poprzez zachwyt nad każdą chwilą, godzenie siebie i świata, natury i kultury, panteistyczne zjednoczenie z kosmosem. Autorka wie, że nie jest to zadanie łatwe, podobnie jak „nadawanie rzeczom odpowiednich słów”. Najważniejsze, że z jednym, jaki i z drugim poetka świetnie sobie radzi...

Agnieszka Kulik-Jęsiak

## W drodze do Annolesia

W drodze do Annolesia warto sięgnąć po debiutancki tom wierszy TOMASZA KALIŚCIAKA zatytułowany „*Drwała rwanie zapisane*”. Genezę tak sugestywnego tytułu wyjaśnia sam autor w poetyckim „*Polistowiu*”.

Utwory zbioru poukładane są w pięć przemyślanych rozdziałów i stanowią z czytelniczego punktu widzenia interesującą całość. Autor sprawnie żongluje znaczeniami, a jednocześnie odczuwa głęboki szacunek dla mądrości słowa oraz tradycji kulturowej. Pewnie dlatego w wierszu otwierającym tomik, młody i piękny bóg poezji, przewodnik muz, traci pewność siebie w konfrontacji ze starym bibliotekarzem. Zadziwiające, że Tomasz KALIŚCIAK, mimo tak młodego wieku - student pierwszego roku filologii polskiej - świadomy jest wielkości symbolu i, nie przesadzając, metafizycznego wymiaru sztuki oraz doskonałości wymiaru Stworzenia. O genialności Stworzenia świadczy magia i cudowność natury. Natura w utworach młodego poety to najtrafniejszy pomysł Stwórcy, to pocieszycielka, kusicielka, a jednocześnie wielka tajemnica. Czasem teksty jej dotyczące wydają się wręcz wyszeptane, jakby z obawy o nagłe zniknięcie nastroju, rozproszenie się magicznej chwili: *wszystko skalane / jeszcze półsnem / i rosą // strzelista trawa / wypieszczona przez noc / łagodną stopą muzy / powstaje na nowo*. Każdy, nawet najmniejszy element Stworzenia godzien jest zachwytu, stanowi wzbudzające emocje kuriozum: *Na skraju nosa / usiadł stubarwny motyl*. Dobrze, że dzisiaj, kiedy codzienność opanował pośpiech, żyje i tworzy młody człowiek, który potrafi zatrzymać się, kontemplować piękno i finezję szczegółu, aby potem utrwalić obraz nasycony przeżyciem w wierszu.

A pejzaże Tomasza KALIŚCIAKA są autentycznymi rarytasami, czasem wydaje się, że autor maluje słowem. Zresztą, on sam doskonale czuje nadzwyczajność przyrody, a czasem wręcz przyroda odczuwa przez niego: *Wybrzeże: / jestem tu sama naga perła // ciałem niebieska / samorodkiem boga słoneczna*.

Intrygującą tajemnicą, pierwotną zagadką nierozzerwalnie związaną z naturą jest w tej poezji kobieta: *ktos tu był / jeszcze zza parkanu róż / widać białe włosy / kobiety // jej ślady prowadzą / w głąb / do serca ogrodu*. Kobietę z kart tomu „*Drwała rwanie zapisane*” cechuje znamieny ezoteryzm, erotyzm, a przy tym demoniczność i momentami niejasma ulotność. Poeta, w najlepszej według mnie części zbioru pt. „*Ballada z Annolesia*”, próbuje zgłębić arkana uniwersalnej Anny, uparcie podąża jej śladem obserwując ją w każdym z jej symbolicznych wymiarów.

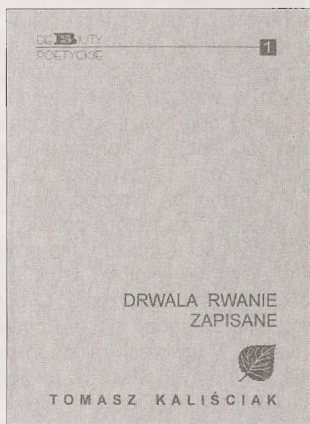
Zaletą twórczości Tomasza KALIŚCIAKA i tym, co różni ją od twórczości szeregu młodych debiutantów jest brak lub oszczędne wykorzystywanie w budowie poetyckiego obrazu tak popularnych dziś rekwizytów jak dym z papierosa, pędzący złowrogi tramwaj we wrogim wszystkim i wszystkim mieście, odór alkoholowy etc. Ulica dla Drwała z Annolesia jest *zagrań pełna*, a *trójpowabne gracie wielkiego miasta* podgląda poeta *ukradkiem w śpiewie i tańcu*.

ciąg dalszy na str. 14

Nie chodzi tutaj o pomijanie dręczących współczesnych tematów, ale o przekazywanie niebagatelnych treści w wypracowany i wysmakowany sposób.

Biorąc pod uwagę zjawisko przenikania i korespondowania ze sobą różnych dziedzin sztuki, nadmienię jeszcze, że książka ozdobiona została dwoma rysunkami Georgija Saffronowa. Nie są to niestety ilustracje, ponieważ prace nie powstały pod wpływem lektury wierszy autora, a szkoda, bo są to teksty silnie działające na emocje odbiorcy, mogące wpłynąć na imaginację niejednego twórcy.

**Małgorzata Matera**



Tomasz Kaliściak, *Drwala rwanie zapisane*. Katowice 2001. Nakładem Biblioteki Śląskiej.

## Opowiadanka Sylwestra T.

### Pieć i niebo

Pan Trapsz, który w naszej okolicy cieszy się zasłużoną opinią mędrca, siedział pewnego słonecznego przedpołudnia na ławeczce przed blokiem i podziwiał otaczający go świat: sunące wysoko obłoki, spieszących do pracy ludzi, wypełnione po brzegi autobusy. Nagle obok ławeczki pojawił się Agresywny Drab.

– Ty, Trapsz, powiedz, gdzie na świecie zaczyna się piekło? – zagadnął ni stąd ni zowąd pana Trapsza.

Pan Trapsz nie zareagował. Poirytowany Drab nie dawał za wygraną. Nie zrażony brakiem odpowiedzi zadał kolejne pytanie:

– A niebo? Niebo gdzie się zaczyna, wiesz?

Pan Trapsz i to pytanie zbył milczeniem. Agresywny Drab, urażony lekceważeniem jakie okazał mu Pan Trapsz, wyrwał z pobliskiej piaskownicy kawał deski i zamierzył się na Pana Trapsza. Gdy decha już miała opaść na skroń Pana Trapsza, Pan Trapsz ze stoickim spokojem powiedział:

– Tu zaczyna się piekło.

Kawał deski z piaskownicy zawisł nieruchomo. Wówczas Pan Trapsz cicho szepnął:

– A tu zaczyna się niebo.

### Dziesięcino, wróć!

Przyszedł do mnie pan Ponanta, zaprzyjaźniony historyk, specjalista od polskiego średniowiecza. Ucieszył mnie jego widok, gdyż człek to mądry, pełen ironicznego dystansu wobec współczesności, z reguły też dowcipny i pogodny. Po powitaniu zauważyłem

# ABSURDAŁKI

jednak, że tego dnia jakiś robak zżera mu duszę. Nie czekając na słowa zachęty z jego strony wyjąłem z szafki koniak i szklanki. Wypiliśmy.

– Wiesz – powiedział po chwili – mamy chyba najbardziej niesprzyjający obywatelom system podatkowy.

Przytaknąłem skwapliwie mając w pamięci wszystkie potyczki z fiskusem. Jak się okazało, pan Ponanta także przeszedł niejedną skarbową Golgotę, co wywołało w nim potrzebę analizy tego współczesnego narzędzia ucisku.

– Podatek dochodowy, VAT, akcyza, podatek graniczny, podatek od nieruchomości, drogowy, gruntowy, klimatyczny et cetera, et cetera! Do tego przymusowy ZUS, opłaty skarbowe, notarialne, składki na różne fundusze. Obciążenia te są niewspółmierne do naszych przychodów, rujnują nas, zniechęcają do pracy i do życia.

– Czyżby pan miał w tej materii jakieś rozwiązanie? – zapytałem.

– Owszem. Należy przywrócić dziesięcinę! – wykrzyknął z przekonaniem.

– Dziesięcinę?! – nie wierzyłem własnym uszom przypominając sobie nauczycieli, którzy w latach szkolnych wmawiali mi, że był to najgorszy element zniewolenia i wyzysku pańszczyźnianego chłopca.

– A tak, dziesięcinę! Przecież, do jasnej cholery, to jedna dziesiąta dochodów! Przyznasz, że w porównaniu z dzisiejszymi podatkami to pestka!

Nie mogłem nie przyznać mu racji. W dół uznania napelniałem szklanki.

– Należy powołać Ogólnopolski Ruch Na Rzecz Przywrócenia Dziesięciny. Trzeba walczyć z nadmiernym fiskalizmem, o swoje prawa, o godność ludzką, o możliwość pracy na swoje potrzeby, a nie na rzecz rozbudowanych nadmiernie i często niepotrzebnych nikomu struktur.

W miarę mówienia ożywiało się coraz bardziej. W uniesieniu przypominał Robespierre'a gilotynującego Ludwika Szesnastego, nieco też Jakuba Szelę wyżynającego szlachtę. By ostudzić jego temperament napelniałem koniakem szklanki. Wypiliśmy.

Okazało się, że nie był to najlepszy pomysł. Pan Ponanta zaraz po przekłnięciu tego szlachetnego trunku popadł w nieprzystające intelektualście oszołomienie.

– Kosy na sztorc stawiać, przekuwać lemieże na miecze, gdzie jest róg, chamie! – wykrzykiwał osuwając się stopniowo na podłogę.

Przykryłem dobroliwie człowieka kocem – by się nie przeziębził.

– Ten ciężar też zniosę – mruknął zasypiając, a ja patrząc na niego życzyłem mu, by przynajmniej we śnie zściła się jego wizja, by przeniósł się w swoje wyidealizowane wieki średnie, w których wszystko ponoć było piękniejsze, lepsze i prostsze.

### Agent numer jeden

Przedwczoraj, około trzeciej nad ranem, przyszedł do mnie dawno nie widziany pan Magnencjusz Kalonko, zaprzyjaźniony agent wywiadu. Po rutynowym przesłuchaniu

mieszkania, zaciągnięciu w oknach zasłon i ostukaniu ścian usiadł przy stole. Już miałem zapytać o cel tak późnej wizyty, gdy nagle poderwał się z krzesła, podbiegł do mnie i kilkoma wprawnymi ruchami obszukał moją piżamę. – Ostrożności nigdy dosyć – powiedział na usprawiedliwienie.

Poczułem się dotknięty niespotykaną dotąd u niego podejrzliwością. W odwecie – tak pomyślałem – nie postawię nawet naparstka koniakowi. A co tam, niech się męczy!

Okazało się jednak, że nawet nie zauważył, iż złamałem jedno z naczelnych praw obowiązujących w moim domu.

– Wiesz – powiedział ścisząc głos – skaptowałem rezydenta wywiadu pewnego światowego mocarstwa. Informacja, którą uzyskałem jest tak wielkiej wagi, że świadomość jej posiadania zupełnie mnie obezwładnia.

Zamartem w oczekiwaniu żalując jednocześnie uprzednio podjętego postanowienia dotyczącego koniakowi.

– Człowiek ten wyjawiał, że ich tajne służby przygotowują zakrojona na szeroką skalę prowokację, której celem jest zdemontowanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Scenariusz rozpadu ma zacząć się od wywołania II wojny secesyjnej, w wyniku której mają powstać nowe, niezależne państwa.

Sytuacja wydała mi się absurdalna. Uszczypnąłem się w pośladek licząc na to, że to tylko sen. Nie na wiele się to zdało. Obecność pana Magnencjusza Kalonko była jak najbardziej realna.

– Ustalono nawet nazwy tych państw – ciągnął dalej pan Magnencjusz zdając się nie zauważać mojego oszołomienia – zerknij, oto lista.

Z przepastnej kieszeni skózanego, czarnego płaszcza wydobyl zmiętą kartkę i podetknął mi ją pod nos.

Lista rzeczywiście zawierała nazwy jakichś państw. Oto one, o ile dobrze zapamiętałem:

Cesarstwo Teksasu i Arizony, Ludowo-Demokratyczna Republika Alabamy, Wielkie Księstwo Kalifornii, Korona Królestwa Nebraska, Autonomiczna Republika Wirginii, Socjalistyczno-Rewolucyjny Kraj Irokezów, Montañska Rzeczpospolita Ludowa, Arcymormońskie Księstwo Utah, Święta Macierz Narodowa Irlandczyków, Wolne Miasto Chicago, Nowa Palestyna i Królestwo Obojga Dakoty.

Zbaraniałem. W pysku zrobiło mi się sucho. Już miałem wyjąć koniak i szklanki, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem. Za progiem stali dwaj krzepcy sanitariusze w białych kitlach.

– My po pana Kalonko – powiedzieli dyskretnie – trochę trwało, nim ustaliliśmy miejsce jego pobytu.

Mój przyjaciel nie protestował, gdy zakładali mu kaftan.

– Nie wierz w to, co widzisz – szepnął wychodząc – to spisek, to...

Nie zdążył dokończyć, a ja nie dociekałem, co chciał powiedzieć zamyślając się nad marnością spraw tego świata, który raz jawi się śmiertelnie poważny, to znów groteskowy i śmieszny.

# KRONIKA KULTURALNA ZAGŁĘBIA

## Marzec

· 1 - w Foto-Galerii Łakomskich w Sosnowcu odbył się wernisaż wystawy fotograficznej Piotra Wojtowicza pt. „Czarne na białym”.  
· 2 - w Muzeum w Sosnowcu miał miejsce wernisaż wystawy Jerzego Dudy-Gracza pt. „Obrazy prowincjonalno-gminne. Remanenty 1990-2000”. Wystawa prezentuje 51 obrazów olejnych wybranych przez samego artystę, powstałych w ostatnim dziesięcioleciu XX w.  
· 5 - w Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu odbył się koncert na cztery ręce w wykonaniu Tamary Granat i Waldemara Malickiego.  
· 9 - w PKZ w Dąbrowie Górniczej warszawscy aktorzy Hanna Śleszyńska, Robert Rozmus i Piotr Gąsowski zaprezentowali program estradowy pt. „TERCET czyli Kwartet”.  
· 9 - w Muzeum w Sosnowcu odbył się wernisaż wystawy rysunków Anny Kowalczyk-Klus pt. „Czas dla Ziemi”.  
· 9 - w Muzeum w Sosnowcu miało miejsce otwarcie wystawy „Emil Zegadłowicz. Między Gorzeniem a Sosnowcem” - eksponaty pochodzą ze zbiorów Muzeum w Gorzeniu Górnym.  
· 10 - w Klubie im. Jana Kiepury odbył się koncert Joanny Kordeusz i Andrzeja Sarapaty pt. „Malowane krajobrazy”.  
· 11 - w Galerii „Extravagance” odbył się wernisaż wystawy pt. „Obrazy” autorstwa Aleksandra Kowala.  
· 13 - w Bibliotece Głównej MBP w Sosnowcu odbył się wernisaż wystawy pt. „Z dziejów drukarstwa, edytorstwa i bibliotekarstwa w Sosnowcu”.  
· 15 - w auli Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Będzinie odbyła się uroczystość wręczenia Nagród Starosty Będzińskiego za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechniania i ochrony dóbr kultury.  
· 17 - wieczór kabaretowy Zofii Merle i Stanisława Tyma w Klubie Osiedlowym „Maczki” w Sosnowcu.  
· 17 - II Polska Gala Country w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Gość specjalny George Hamilton & Tom Cornet.  
· 21 - w Dąbrowie Górniczej odbył się V Przegląd Piosenki Obcojęzycznej.  
· 21 - Natalia Czumak i Jerzy Czumak wystąpili w koncercie pt. „Powrót do źródeł” w Muzeum Zagłębia Dąbrowskiego w Będzinie.  
· 22 - prof. Jacek Wódz wystąpił z prelekcją pt. „Młodzież polska w Europie” w Muzeum Miejskim w Sosnowcu.  
· 24 - w salach PKZ w Dąbrowie Górniczej odbył się V Turniej Poezji Śpiewanej.  
· 25 - w Pałacu Kultury Zagłębia z operą komiczną „Orfeusz w piekle” wystąpił Teatr Muzyczny z Gliwic, gościnnie w roli Eurydyki - Grażyna Brodzińska.  
· 31 - w Miejskim Ośrodku Kultury Centrum wystąpił Wiesław Ochman.  
· - w Czeladzi odbył się V Przegląd Twórczości Dziecięcej i Młodzieżowej zorganizowany przez Wydział Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego.  
· - w Sosnowcu miał miejsce VII Festiwal Małych Form Teatralnych adresowany do uczniów szkół podstawowych i gimnazjów.  
· - uczniowie Szkoły Życia zorganizowali wystawę prac plastycznych pod nazwą „Wiosenne klimaty” w Oddziale dla Dzieci i Młodzieży MBP w Sosnowcu.  
· - warsztaty językowe i literackie, konkurs plastyczny i inscenizacja baśni braci Grimm złożyły się na dwudniową imprezę pn. Dni Kultury Niemieckiej, którą zorganizowało Gimnazjum Nr 2 w Zawierciu.

## Kwiecień

· 2 - w Teatrze Zagłębia odbył się finał VII Festiwalu Małych Form Teatralnych.  
· 2 - w Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej otwarto wystawę zagłębianów ze zbiorów Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Kołłątaja w Dąbrowie Górniczej.  
· 5 - w Foto Galerii Łakomscy odbył się wernisaż wystawy fotografii wirtualnej „Świat Promieni”, której autorem jest Andrzej Pyrchla.  
· 5 - w będzinńskiej Szkole Muzycznej wystąpili gościnnie Kaja Danczowska i Sławomir Cierpiak.  
· 5 - w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Czeladzi odbył się Przegląd Twórczości Teatralnej Dzieci i Młodzieży pt. „Kurtyna 2001”.  
· 6 - w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Będzinie odbyło się spotkanie autorskie z Katarzyną Młynarczyk.  
· 6 - w SP nr 3 w Czeladzi miał miejsce II Czeladzki Konkurs Recytatorski.  
· 7 - w sali kameralnej PKZ w Dąbrowie Górniczej odbył się XIII Zagłębiowski Konkurs Literacki.  
· 10 - w czeladzkiej hali MO-SiR odbył się V Przegląd Twórczości Tanecznej Dzieci i Młodzieży o Puchar Burmistrza.  
· 22 - w Galerii Extravagance miał miejsce wernisaż wystawy malarstwa Marii Matyji-Rozpary pt. „Chwile, listy, cytaty...”.  
· 23 - Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana z Będzina obchodził uroczystość 55-lecia istnienia.  
· 23 - w PKZ w Dąbrowie Górniczej odbył się koncert Andrzeja Sikorowskiego i Grzegorza Turnaua pt. „Pasjans na dwóch”.  
· 25 - artyści Teatru Muzycznego w Gliwicach wystąpili z koncertem kameralnym pt. „W krainie operetki” w salach Muzeum Zagłębia Dąbrowskiego w Będzinie.  
· 27-29 - w Będzinie odbyło się pierwsze Zagłębiowskie Spotkanie z Meipomeną - przegląd zespołów teatralnych działających przy szkołach podstawowych, gimnazjach, domach kultury i klubach osiedlowych z terenu Zagłębia.  
· 29-1.05 - w Czeladzi odbył się po raz drugi Festiwal AVE MARIA z udziałem gości - Marii Sartowej, Ireny Santor, Wiesława Ochmana. Dyrektorem Festiwalu jest Sławomir Pietras.  
· - W Gimnazjum Nr 6 w Sosnowcu-Klimontowie rozpoczęto cykl spotkań z twórcami literatury pięknej, który zainaugurowała poetka z Dąbrowy Górniczej Janina Barbara Sokołowska.  
· - w Muzeum Zagłębia Dąbrowskiego w Będzinie otwarto wystawę czasową pt. „Wiosenne zwyczaje” ze zbiorów Muzeum Górnosląskiego w Bytomiu.

## Maj

· 3 - W katedrze NMP w Sosnowcu wystąpiła grupa wokalna z Portugalii Ad Libitum.  
· 8 - w lokalu Biblioteki Głównej MBP w Sosnowcu odbył się wernisaż wystawy pt. „Instytucje kultury a środowiska twórcze Sosnowca”.  
· 8 - w auli Kolegium Języka Biznesu miała miejsce sesja naukowa pt. „Instytucje kultury a środowiska twórcze Sosnowca” z udziałem prelegentów z placówek uniwersyteckich, zorganizowana przez MBP w Sosnowcu.  
· 8 - w Czytelnicy Biblioteki Głównej w Sosnowcu odbył się wieczór autorski poetów trzech pokoleń pt. „Poetów portret własny”. Wzięli udział L.J. Woźniak, Sł. Matusz i W. Brzoska. Prowadzili M. Kisiel i P. Majerski.  
· 8-9 - aktorzy krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego wystąpili w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej ze sztuką B. Schaeffera pt. „Anons”.  
· 9 - siedemdziesięciu gimnazjalistów wzięło udział w I Regionalnym Konkursie Piosenki Angielskiej zorganizowanym przez Gimnazjum Nr 5 w Bę-

dzinie.  
· 10 - w Muzeum w Sosnowcu odbył się finał konkursu „Europa nasz wspólny dom”.  
· 11 - w Muzeum w Sosnowcu odbył się wernisaż wystawy pt. „Z dziejów sosnowieckiej kultury, oświaty i sportu”.  
· 12 - w PKZ w Dąbrowie Górniczej wystąpił gościnnie Teatr Muzyczny z Łodzi z komedią muzyczną „CANCAN”.  
· 15 - w Galerii Extravagance miał miejsce koncert Agnieszki Gajgier i Marcina Paksa, uczniów Zespołu Szkół Muzycznych im. J. Kiepury.  
· 16 - z okazji 99. rocznicy urodzin Jana Kiepury w auli UŚ przy ul. Żeromskiego miał miejsce koncert Jacka Wójcickiego i Beaty Rybotyckiej pt. „Od La Scali do Piwnicy pod Baranami”. Artyści wystąpili na zaproszenie Klubu im. Jana Kiepury i Społecznego Komitetu Budowy Pomnika J. Kiepury. Podpisano umowę sponsoringową z Bankiem Śląskim.  
· 16 - w PKZ w Dąbrowie Górniczej wystąpili aktorzy kabaretu Piwnicy pod Baranami z Krakowa z przedstawieniem pt. „Hałas nocy”.  
· 17 - w Galerii „U Belfrów” działającej przy Bibliotece Pedagogicznej miał miejsce wernisaż wystawy Grażyny Wieczorkiewicz-Pelki oraz jej uczniów z SP nr 18.  
· 18 - w Filii nr 2 MBP w Sosnowcu odbył się wernisaż prac Karoliny Wojdały-Fronik.  
· 19 - w Teatrze Zagłębia odbyła się premiera „Operetki” Witolda Gombrowicza.  
· 22 - w Muzeum odbyła się uroczystość wręczenia medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” Krystynie Marczak i Marii Broczek. Dekoracji dokonał Michał Sobelman, rzecznik prasowy ambasady Izraela w Polsce. Uroczystość uświetnił występ trio Di Galitzyaner Klezmerium.  
· 22 - w Galerii Extravagance odbył się koncert Anny Glimos i Piotra Łaty - uczniów Zespołu Szkół Muzycznych im. J. Kiepury.  
· 22-24 - w PKZ w Dąbrowie Górniczej odbył się VII Ogólnopolski Festiwal Zespołów Artystycznych Domów Pomocy Społecznej.  
· 23 - w Muzeum Zagłębia w Będzinie wystąpił Kwartet Jagielloński z koncertem pt. „Dawno temu w Ameryce”.  
· 24 - w Bibliotece Głównej MBP w Sosnowcu odbyło się II Sympozjum Zagłębiowskie poświęcone pamięci dra Jana Przemszy-Zielińskiego zorganizowane przez Klub Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego.  
· - w Muzeum Miejskim „Szttygarka” zostały otwarte dwie wystawy - „Wypokalska archeologiczne z terenu Dąbrowy Górniczej” oraz „Z dziejów Ochotniczych Straży Pożarnych Dąbrowy Górniczej”.  
· - w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Będzinie została otwarta wystawa malarstwa Czesława Włoska, sosnowieckiego poety i malarza.  
· - w Ośrodku Kultury w Będzinie odbył się wernisaż wystawy malarstwa Jarosława Bijaka.  
· - w Muzeum Zagłębia Dąbrowskiego w Będzinie odbył się wernisaż wystawy rysunków Czesława Haczkiewicza pt. „Piórkami i węglem”.  
· - w Galerii Sztuki PKZ przedstawiono wystawę pokonkursową prac Związku Artystów Plastyków z Katowic pt. „Praca Roku 2000”.

Opracowała: **Elżbieta Oleksiak**

Kurier Literacki - dodatek  
Kuriera Miejskiego.

Redaktor Naczelny - **Kazimierz Głosz**  
Wydawca - Sosnowiecka Korporacja  
Wydawnicza „SCW” spółka z o.o.  
Adres: 41-200 Sosnowiec, ul. 3 Maja 22,  
tel. 266-76-26, tel./fax 266-42-59  
Poczta E-MAIL [kurmiej@polbox.com](mailto:kurmiej@polbox.com)  
Numer przygotował: **Tomasz Kostro**



351669

ŚWIĘTOSZANA  
TRZEPIZUB